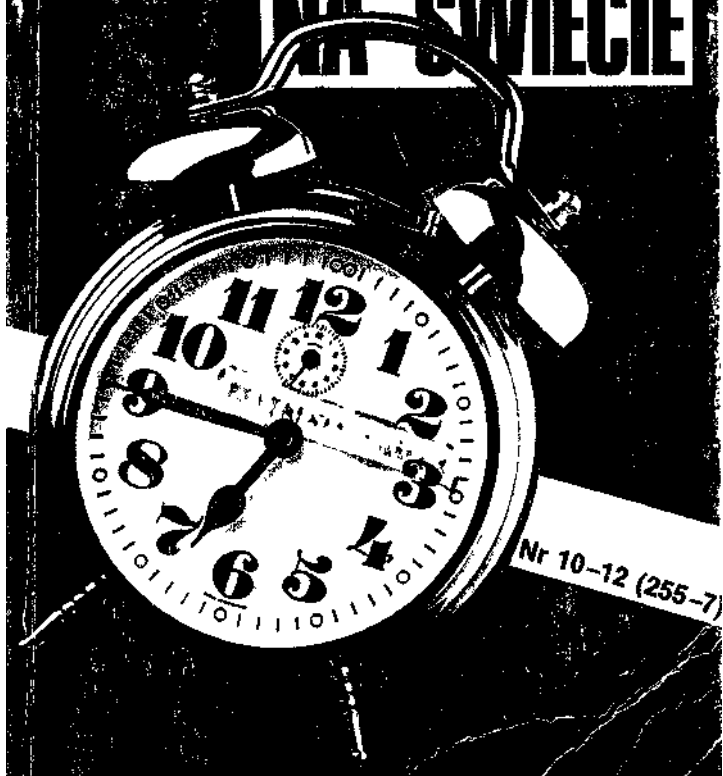


Nr indeksu 364088

# LITERATURA NA ŚWIECIE



Nr 10-12 (255-7)

PL ISSN 0324-8305  
Nr indeksu 364088

# LITERATURA NA ŚWIECIE



WARSZAWA 1992 nr 10—11—12 (255—57)

JAN KŘESADLO  
przełożył  
JÓZEF WACZKÓW



# ŚCIERWOPIEWCY

(fragmenty)

## Słowo wstępne

Postaci tej książki przypominają osoby żyjące przede wszystkim dlatego, że mają również głowę, ręce i inne części ciała. Podobnie też, mam nadzieję, reagują wewnętrznie. Są zdane na wpływ tego środowiska nad Wełtawą, które oddziaływało na jakieś piętnaście milionów rzeczywistych ludzi. Musiałby więc diabeł maczać w tym palce, gdyby nie odzwierciedlały niektórych osób rzeczywistych. Jednakowoż nie było celem tej książki, jakkolwiek by mógł on być, odmalowywanie osób rzeczywistych. Zgodnie z rzeczywistymi prawdami rzemiosła na ważniejsze figurki złożyły się transplanty organów psychofizycznych, przy czym zatroszczono się, żeby powstały miszmasz był nierozpoznawalny. Jeśli chodzi o postać „faceta”, jest oczywiście fikcyjna, choć w naturze, możecie wierzyć lub nie, istnieją podobne typy. Nasz „facet”, zupełnie jak marksizm, ma trzy źródła: jego profesja, los, zainteresowania i te pe miały modela w rzeczywistym towarzyszu, jednakże model w tym przypadku wyolbrzymiono, jak gdybyśmy z kota zrobili tygrysa. Dotyczy to

po części i jego indywidualnych zamiłowań, które zostały przeszczepione z istniejącego kiedyś człowieka, który był jednak zwykłym murarzem, a całą historię, wraz z miejscem, gdzie się odegrała, opisała kiedyś pewna zagraniczna gazeta. (...) Książka ta w niektórych partiach może być uznana za odrażającą. Po pierwsze wyraża się w tym duch epoki, po drugie zaś, jak mam nadzieję, odraza ta nie stanowi celu samego w sobie. Mam też nadzieję, że pewne pozytywne czynniki tworzą jej dostateczną przeciwwagę. Ten rodzaj melanzu jest zresztą charakterystyczny dla życia na tej planecie, które wraz z całą jego złożonością usiłowaliśmy tu w jakiejś mierze odtworzyć.

Autor

## ROZDZIAŁ I

Było, nie było.

Było to już po roku czterdziestym ósmym, ale na długo jeszcze przed okresem odwilży, jak to ma miejsce w wielu powieściach emigracyjnych. Towarzysze wciąż jeszcze odbywali miodowy miesiąc ze swoją importowaną szkaradą i robili wszystko, co wyczytali w jej oczach. Zakazywali wszystkiego, co mogli, albo przynajmniej wypaczali i psuli, co się tylko dało.

To i owo jednak pozostawiali, tak jak było, przynajmniej do czasu, bo od razu nie można zabrać się za wszystko, czy też sobie zabrać wszystkiego. Zresztą chodziło także o rzeczy, których poradcy nie znali u siebie w Azji, więc im nawet nie przychodziło do głowy, że w ogóle coś takiego mogłoby istnieć. Do tych spraw na przykład należały pochówki i wszystko, co się z nimi wiązało, a co jest dla naszej opowieści nader istotne.

Dla tych, którzy z jakiegoś powodu nie są świadkami tamtych lat, wypada chyba dodać, że ogólny poziom życia był u nas wówczas niższy niż na Zachodzie, ale po większej części wyższy niż w Związku Radzieckim i niemal we wszystkich innych jego satelitach.

Poza tym, choć właśnie był początek lata, padało prawie jak w Anglii.

\*

Na skraju rozległych cmentarzysk, znajdujących się na wschód od centrum miasta, jest sporo gospód. Od niepamiętnych czasów zachodzą do nich ci, którzy zajmują się czynnościami pogrzebowymi. W chwili, kiedy piszemy te słowa, siedziało w jednej z nich czterech mężczyzn, których zadaniem było wykonywać czterogłosowe pieśni żałobne, z reguły zamawiane przez bliskich grzebanego. Pili herbatę z podrabianym rumem, gdyż było wilgotno i zimno, czekając na kolejny pogrzeb, na którym przyjdzie im się produkować.

Powierzchnię cmentarza dałoby się porównać do wielkiego zielonego jeziora, czy mniejszego morza, a czwórkę mężczyzn do rozbitków, wyrzuconych na brzeg. W znaczeniu cokolwiek innym byli to rzeczywiście rozbitkowie, śpiewanie bowiem na pochówkach to żadna kariera.

Pierwszy tenor miał ciemną gołę jak strusie jajo lub Telly Savalas. Był dość przyzwoicie ubrany w skózaną marynarkę i sweter z golfem. Kiedyś rzeczywiście miał głos, ale nadwerężył go nadmiernym piciem. Śpiewał nie tylko na pogrzebach, był pomocniczym chórzystą w operetce, ale tu jego los był już przypieczętowany, gdyż miał tremolo niczym vox humana w organach romantycznych. Jego twarz, nader przypominająca łysego faryzeusza z „Grosza czynszowego” Tycjana, była poprętykana żyłkami apoplektycznymi.

Milczał i powoli pił.

Nazywał się, dajmy na to, Tuma.

Kolejny mężczyzna był uderzająco podobny do papugi lub do karykatury profesora muzyki. Ciało miał

malutkie, a w dodatku kulał, co akurat, skoro siedział przy stole, nie było oczywiście widoczne. Obok na oparciu nie zajętego krzesła zahaczył dziobem uchwytu swoją laskę z gumową nasadką. Miał grube okulary i stalowosine włosy, które w sposób na owe czasy nader niezwykle spływały mu aż na ramiona. Z przodu jednakże już wyłysiał aż po czub głowy. Również cała jego twarz, z subtelnym ptasim nosem i dziecięcymi wargami, była w sposób karykaturalny artystowska. Był, jak to się mawia, ogolony na okrągło, to znaczy miał mniej więcej trzydniowy siwy zarost. Z pewnymi indywidualnymi modyfikacjami odnosiło się to i do pozostałych członków kwartetu, gdyż brody stały się modne o wiele później. Ręce tego człowieka były uderzająco malutkie.

Jego niezwykle wygląd był ostatnim wspomnieniem dawnych czasów, kiedy uchodził za cudowne dziecko w sferze muzyki, rokujące szalone nadzieje. Od tamtej pory stał się nader zgorzkniały, wręcz cyniczny, nie cierpiał kościoła i jego hierarchii, mimo że ściśle biorąc właśnie ona dawała mu utrzymanie, choć oczywiście dość nędzne. W pogrzebowym kwartecie pełnił rolę akompaniatora i pierwszego basa. Trudno powiedzieć, dlaczego nie poszczęściło mu się lepiej, bo na przykład nie pił. Można było przypuszczać z pewną dozą nadziei, że pewnie gdzieś w szufladzie domowej trzyma jakieś wybitne, wyprzedzające swój czas kompozycje, feeryczne kwartety, zachwycające symfonie i tym podobne, co by jakoś jednak usprawiedliwiało to oklapłe życie.

Niestety, było inaczej: jego kościelne kompozycje, z których część ukazała się nawet drukiem, miały wprawdzie wirtuozowskie partie organowe, ale poza tym były puste jak głuchy orzech.

Siedział nieruchomo, a jego załuszczoney kapełusz, leżący na stole, przypominał ekskrement dawno

wymarłego olbrzymiego zwierzęcia, na przykład trąbowca.

Na dobitkę miał nieprawdopodobne, łaćńskie brzmiące nazwisko Turgo.

Kolejny mężczyzna miał ciemnokasztanowe gęste włosy, jedynie na skroniach niemal niezauważalnie szpakowate, utrzymane zupełnie normalnie. Był chudy i kościsty, a jego jak gdyby w twardym drewnie wyrzeźbiona twarz składała się z nieprzebranych, na ukos w dół biegnących zmarszczek, na trwałe zastygłych we frasośliwy, skory do płaczu grymas. Z zylastej szyi wystająca ogromna grdyka kazała się domyślać, że jest to drugi bas kwartetu. Z profilu było widać, że prawie nie ma brody.

Siedział obejmując filiżankę z gorącym napitkiem olbrzymimi łapskami, ale nie były to ręce spracowane. Miał na palcu rzucający się w oczy, tani pierścionek z ciemnoczerwonym kamykiem, a właściwie szkiełkiem. Również jego buty były wielkie i przypominały szufladki sekretery.

Twarz miał odpowiednią do nazwiska, które brzmiało Kruta.

Słuchał z szacunkiem Turgi, czy raczej Turgona, który właśnie wyjaśniał zirytowanym papuzim głosem, jaka jest różnica w starych organach między pedałem krótkim a łamanym.

Było jasne, że Turgo jest tu głową, czyli szefem ścierwopiewców. Podobnie jak Turgo, również Kruta sprawował niewdzięczną i kiepsko opłacaną funkcję organisty kościelnego, tyle że na dalekim przedmieściu. Wiodło mu się jednak jako tako. Miał motocykl, którym jeździł do swoich zajęć, i dzięki zwiększonej mobilności był zdolny zarobić więcej niż pozostali, skazani na publiczne środki lokomocji.

Gdzieś na obrzeżu Miasta, a właściwie już poza nim, miał mały domek, bodaj spadek po rodzicach,

gdzie hodował różne zwierzątka domowe, króliki, kozy i kury. W przeciwieństwie do Turgona, frenetycznego wirtuoza, kunszt organowy Kruty był dosyć skromny, no ale jak na zawodowego ślusarza wystarczający. Zwłaszcza w okresie ogólnego upadku muzykowania kościelnego. Kruta był zaborczy i łapczywy w sposób wyraźnie jakiś taki chłopsko przyziemny, nie nazbyt lukratywny.

Z bożej łaski organista, ścierwopiewca i spekulant, chwycił się poza tym każdej fuchy, ślusarskiej, blacharskiej i tym podobnych, gdyż w gruncie rzeczy do wszystkiego miał dryg. Jego stosunkowo dobra sytuacja ekonomiczna znajdowała swój wyraz i w tym, że podobnie jak Tuma miał skórzaną marynarkę.

Typowo chłopska była też jego postawa religijna, na swój sposób oczywista, niefilozoficzna i w dużym stopniu obłudna, gdyż traktował postaci panteonu katolickiego jak fetysze, które powinny mu zapewnić korzyści materialne. Usiana fraszobliwymi zmarszczkami twarz Kruty odzwierciedlała jego chroniczny problem osobisty, o którym powiemy później.

\*

Czwarty mężczyzna, którego wyraźnie eksponujemy, zostawiwszy go na sam koniec, niech się nazywa Zderad.

Był to jeszcze młodzieniec. Jakaś księżycowa tęskna bladeść powlekała jego regularne i całkiem przyjemne rysy cokolwiek południowego typu. Ciemne jego włosy nasuwały pierwsze przeczucie łysiny w okolicach ciemienia. Figurę miał roslą, ale szczupłą. Szerokie ramiona okrywał mu niepozorny wybrudzony prochowiec.

Jak wynika z kontekstu, w kwartecie ścierwopiewców przypadała mu rola drugiego tenora. Głosik



miał wprawdzie wciąż jeszcze wyrównany, przyjemny, cokolwiek fletowy, przypominający uroczą sówkę, brakowało mu jednak gruntownego dołu, a ponieważ także góry. W chórze mieszanym dałoby się ten niedostatek zatuszować falsetem, ale w kwartecie pierwszy tenor nie był w stanie długo ciągnąć bez krycia z góry.

Był zatem permanentnie spychany do roli drugiego tenora, który z reguły jest pariasem chóru męskiego, gdyż w razie potrzeby może go zastąpić praktycznie każdy głos, może z wyjątkiem nader głębokich i tubalnych basów.

Również z innych powodów plasował się na szarym końcu. Pośród ścierwopiewców był najmłodszy, nie miał innych stałych źródeł utrzymania i na dobitkę plamiło go pochodzenie inteligenckie.

W okresach pomyślności nigdy mu nawet nie przyszło do głowy, że mógłby w jakiś sposób utrzymać się z muzyki, toteż choćby dlatego schafarżeni zawodowcy poniekąd nim pogardzali.

Przed kilkoma laty rewolucyjna hurramachina schwyciła go w swoje tryby i w końcu wypluła, co prawda bez poważniejszych okaleczeń, ale jednak ze szramami, pamiątką na resztę życia. Wypluty na mętne wody, schwycił się Zderad tratwy ścierwopiewców i mocno się jej trzymał, gdyż było to jednak lepsze od łopaty czy piły w fabryce, choć pod względem płacy właściwie nie umywało się do tamtych zajęć.

\*

Przemysł pogrzebowy, z jakiegoś powodu pomijany przez rewolucyjnych poskromiciele czasoprzestrzeni, niejako następczą ospaty, melancholijny azyl.

W ogóle duże cmentarze dużych miast stanowią przyjemną i tchnącą pojednaniem instytucję. Korzystnie odróżniają się od parków, gdyż tutaj nie chodzi się

na byle spacerzy rodzinne, nie wolno tu hałasować, grać w piłkę, jeździć na hulajnodze, nie pojawiają się też na nich psy, jakby to u nas, w Europie środkowej, było obwarowane tradycją. Rosną na nich piękne, stare i mądre drzewa, jak gdyby spokojniejsze i uroczystsze niż w normalnych parkach, nie chodzą po nich lodziarze i sprzedawcy orzeszków ziemnych. Żyją tu sobie w spokoju ptaki i nieprawdopodobna różnorodność dzikich zwierzątek. Można tu się wypuszczać na długie przechadzki bez obawy, że będziemy się zbyt często natykać na mnóstwo ludzi. W bardziej zapadłych kątach ludzka noga nie stanie przez całą godzinę, a nawet całą dni.

Liczne roboty kamieniarskie nasuwają filozoficzne zamyślenie, a napisy nagrobne tchną delikatną melancholią przemijania. Nie ma tu plakatów wzywających do czujności i wykonywania planów pięcioletnich.

Hasła „RADZIECKI GRABARZ NASZYM WZOREM” nie można by tu rozprześć choćby ze względu na osobiste bezpieczeństwo.

Tak samo nie podobna walczyć o ilość i jakość pogrzebów.

A że Lenin żyje i żyć będzie wiecznie, nie widuje się tutaj jego tatarskich rysów.

Podobnie rzecz wygląda z kostnicami i kaplicami pogrzebowymi, a także z procedurami towarzyszącymi różnym rodzajom obrzędów. Życie tętniące radosnym budowaniem i tworzeniem nie zagarnia tym swoim tętnieniem cmentarzy, ledwo z daleka na nie popatruje z zabobonną trwogą i nieomalże mimo woli żegna się znakiem krzyża. I również hopsający w górę obywatele tylko po cichu i ukradkiem psioczą, że wszyscy mają z nim krzyż pański. Krucyfiks, krucyfiks, słyhać przekleństwa. Ale te krucyfiks, w postaci jak najbardziej materialnej, sterczące dumnie i nie-

wzruszenie, widać dopiero tutaj. Tabu śmierci tkwi przy cmentarnych bramach z mieczem ognistym niby archanioł Gabriel przed bramami raj. Przez cały czas odpędza z powodzeniem rewolucyjnych wścibinosów.

Czas na cmentarzu nie istnieje, a jeśli nawet, to guzik prawda.

Dodajmy dla ścisłości, że nasza opowieść rozgrywa się w okresie, gdy jeszcze nie objawiono i nie doceniono faktu, że cmentarze i groby mogą służyć bojownikom o ludzkie prawa jako miejsce demonstracji, a strażnikom porządku — do ich rozpędzania. Toteż wszystko, co wyżej zostało powiedziane, sprawdziło się wtedy w praktyce bez żadnego wyjątku.

Zderad, nie czyniąc zbytecznych analiz, intuicyjnym aktem poznania z miejsca tę sytuację docenił. Termin „emigracja wewnętrzna” nie był wprawdzie wtedy używany, a może nawet jeszcze nie został wymyślony, niemniej jednak, jeśli gdziekolwiek na świecie można spokojnie pracować, a przy tym w najlepsze ignorować radosną teraźniejszość bez żadnych konsekwencji, to właśnie na cmentarzu i we wszystkim, co z nim się wiąże. Z tego można wnioskować, że Zderad był młodzieńcem dosyć inteligentnym i na swój sposób praktycznym, chociaż cokolwiek ekscentrycznym, gdyż rozwiązanie, jakie obrał, realizował w sposób nader nietradycyjny, nieczeski i materialnie niekorzystny.

\*

W chwili, gdy piszemy te słowa, scharakteryzowany właśnie kwartet ścierwopiewców siedział w gospodzie i pił herbatę z namiastką rumu rozwodząc się,

w osobie Turgona, na temat różnorodnych klawiatur organowych, a tymczasem na dworze łało jak z cebra.

Zderad miał przed sobą, oprócz herbaty, kawałek nutowego papieru, który zapełniał nutkami, od czasu do czasu zatrzymując się, pogwizdując i pomrukując. Wdowa po czekającym ich nieboszczyku zażyczyła sobie bowiem cokolwiek podejrzaną i niebezpieczną pieśń „Ach, synku, synku”, na którą po pewnym wahaniu zgodziły się w końcu służby komunalne.

Kompozycja była niepowszednia, ale w powszednim mętliku organizacyjnym Turgo zapomniał przynieść jej nuty (jeśli w ogóle je posiadał), a członkowie kwartetu nie znali na pamięć żadnej aranżacji czterogłosowej, którą by wszyscy umieli. Ofuknięty przez towarzyszy, Turgo zachnął się w nader artystowsko historyczny sposób i odmówił zaaranżowania pieśni od ręki, choć nie był to dla niego żaden problem i w razie potrzeby zawsze to robił.

Zabrał się więc za to Zderad, po części dlatego, że po Turgonie był niewątpliwie najkompetentniejszy, po części też jednak, żeby okazać się użytecznym, no i godnym tak znakomitego towarzystwa.

Zderad nigdy nie uczęszczał na kursy harmonii, ale już od gimnazjalnych lat pałętał się po różnych zespołach śpiewaczych, toteż to i owo samoczynnie i bez wysiłku zapadło mu do głowy. Wprawdzie często nie wiedział, jak się odpowiednie akordy i współbrzmienia nazywają, ale z łatwością potrafił się nimi posługiwać. Nie chcemy przez to powiedzieć, że był jakoś szczególnie uzdolniony w tej dziedzinie. W Czechach takich talentów było (i jest, miejmy nadzieję) jak grzybów po deszczu.

Z rozmachem zatem nakreśliwszy na jednej pięciolinii klucz wiolinowy, a pod nim na drugiej — klucz basowy, i spiąwszy obie tłustą barokową kłamrą,

napisał najpierw na każdej z nich „3/4”. Po czym inspirując się apoplektycznymi żyłkami Tummy przy każdym „3/4” szybko dopisał bemol. Kruta spokojnie brał dolne es, ale żądać od Tummy wysokiego a stawało się z biegiem czasu coraz bardziej nieludzkie.

Po tych preambułach z wielką przyjemnością zabrał się do harmonizacji. Jasno paliła się wówczas w zenicie gwiazda Zdeńka Nejedlego, toteż wszystko, co wtedy rozbrzmiewało, czy było śpiewane, stawało się tym bardziej socrealistyczne i ludowe, im bardziej okazywało się wagnerowskie i starowiekowe. Tę jednoznaczną i bezkompromisową zasadę antyburżuazyjnej estetyki realizował właśnie Zderad w praktyce, która jest, jak wiemy, jedynym kryterium teorii. Żwawo i zapalczywie pod palcami wyrastała mu parodia chromatyczna jarząc się wszystkimi kolorami jak wypchane papugi pod szklanym kloszem w salonie patriotycznego przemysłowca z czasów dawnej Austrii. Koniec końców, taki charakter miała większość pieśniarskiego repertuaru pogrzebowego, podkreślając w ten sposób zwapniały smak muzyczny starego podagryka na ministerialnym fotelu.

Dopuszcivszy się ostatniej pluszowej niegodziwości na ostatnim „taticek se-he pta” (g mol, es mol, be dur, ges dur, be dur), Zderad już zupełnie normalnie zharmonizował końcowe „oral-li jsi” i podał papier nutowy Turgonowi. Krótkowzroczny maestro przytknęła papierek do samego nosa i troskliwie go badał. W pierwszej chwili pewnie zamierzał odrzucić aranżację żółtodzioba, ale czas nazbyt nagiął.

— W porządku — powiedział zatem bez zapału — spróbujcie to po cichu rozgryźć.

Ścierwopiewcy skupili się wokół ramion Turгона i zanucili pianissimo.

Smutna, czysta, ludowa melodia zniosła jakoś

wagnerowski plusz, tak jak widoku Hradczan nie zdegradują najprzeróżniejsze reprodukcje na pocztówkach i pamiątkowych garnkach. Wszyscy w gospodzie zorientowali się, że to, ni mniej ni więcej, tylko klejnot wspólnego, jak to się mówi, dziedzictwa kulturalnego.

Ten i ów zatawił.

Z tyłu sali jakiś goguś uniósł czujnie i badawczo dobermański kinol. Zanim się jednak zdecydował na jakieś posunięcie, cicha melodia pogrzebowa dobrzmiała ostatnim akordem tonicznym, któremu Kruta z własnej inicjatywy przydał zupełnie niezłe kontra b. Zaraz też ścierwopiewcy wyszli na deszcz ku cmentarzowi. Goguś z dobermańskim łbem wietrzył jeszcze chwilę i uspokoił się. Albo zdał sobie sprawę, że na tę pieśń udzielono pozwolenia, albo po prostu nie chciało mu się moknąć.

## ROZDZIAŁ II

Mniej więcej na północny zachód od cmentarnego morza są slumsy, a w każdym razie wtedy tam były. Wątpliwe zresztą, by towarzysze je zlikwidowali, choć jest to w planie od co najmniej trzydziestu lat.

Stawianie pomników, mauzoleów i gmachów reprezentacyjnych jest zaiste ważniejsze, no a poza tym wremieni nie chwatają.

Aczkolwiek, ściśle biorąc, wszystko jest możliwe.

Slumsowe ulice noszą często imiona praszczurów, władyków i tym podobnych indywiduów, ale to im ani trochę nie pomaga.

Jeśli pójdziesz prosto na północ od północnego muru najpiękniejszego smentarza, trafisz na staw, gdzie w marcu schodzą się na orgie ropuchy. W jakiś czas później wśród porzewiałych garnków i rzęsy wodnej znajdujemy tam kijanki.

Za stawikiem, raczej tak trochę na zachód, wznoszą się nagie wzgórki, jakby przydeptane i pocięte

wyrwami. W tych wyrwach schodzą się dla odmiany ludzie, jednakowoż raczej w miesiącach letnich i wyłącznie po ciemku.

Z ciemienia jednego z pagórków można wejść na podwórze, utworzone przez trzy domy postawione tak trochę w niepełny kwadrat. W głębi podwórza widać studnię, trzepak na dywany i anemiczny ogródek, składający się głównie z bluszczu. Rzędy galeryjek, pierwotnie drewnianych, teraz tylko po części, no i półszklonych, obiegają te domy od wewnątrz trzema chyba warstwami. Do slumsowych nor wchodzi się z tych galeryjek.

Na jednych drzwiach znajdujemy emaliowaną wizytówkę, rzecz jasna, nie stosunkowo zamożnego Kruty, lecz innego ze ścierwopiewców, jak głosi wykalfigrowany kursywą napis:

#### ZDERAD

Tu, niestety, musi mieszkać.

Mieszkanie Zderada składa się z jednej izby, bardzo stosownie wymodelowanej, w kształcie trumny. Dwie mniejsze ściany nie mają bowiem formy prostokąta, ale symetrycznego sześciokąta, tak jak mniejsze ścianki trumny, kiedy pokryta jest wiekiem. Większa ściana jest długości jakichś dwudziestu pięciu kroków. Szerokość pomieszczenia ma jakieś cztery czy pięć tychże jednostek mierniczych.

Oprócz drzwi do izby prowadzi też dwoje okien, jedno z galeryjki, a drugie, większe, z przeciwległej strony, od ulicy. Pomieszczenie jest mniej więcej w połowie podzielone na dwie części czymś w rodzaju zasłony, dającej się przesuwać na zardzewiałych kółkach po z lekka rdzawej rurce.

W części bliżej wyjścia jest kiepska kuchenka i mnóstwo najprzeróżniejszych rupieci kuchennych, a także stół i chyba dwa krzesła. W drugiej części w zasadzie znajdują się tylko dwie kanapki, każda pod

inną ścianą, i dziecięce łóżeczko w rozpowszechnionej postaci klatki z drewna.

Wszystkimi zmysłami postrzegamy ubóstwo, mniejsze jednak niż istniało w latach pierwszej republiki czy też niż istnieje w Związku Radzieckim. Faktycznie, kiedy w roku czterdziestym piątym zawitał do podobnego mieszkania w tym domu czerwonoarmista, był przekonany, że trafił do jakiegoś inżyniera. Zostawił po sobie pamiątkę w postaci córki imieniem Nadia, jednakowoż w tym przypadku nie można mówić o gwałcie.

Wtamtym okresie wszakże Zderad mieszkał zupełnie przyzwoitym lokalu swoich rodziców i w całym innej części Miasta.

Czas jednak szarpnął za sobą i z owego okresu, oprócz wspomnień, pozostała mu tylko wspomniana emaliowana tabliczka.

\*

Wieczorem się rozpogodziło. Z cmentarzysk i rumowisk niósł się aż tutaj zapach mokrej zieleni. Niebo było spokojne jak oko krowie.

Zderad leżał na jednej z kanapek i nic nie robił.

Jego żona, niezgorzej wyglądająca piegowata i rudawa blondyna z lekko wywichniętym prawym stawem biodrowym, była na jakimś zebraniu, gdyż pracując jako nauczycielka musiała w trosce o dobrą opinię wykazywać gorliwość.

Ich dziecko, kędzierzawy, chyba trzyletni chłopczyk, mający na imię Zawisza, był jeszcze w przedszkolu czy żłobku, w zależności od tego, jak się takie coś dla trzylatków nazywa, no, bo już zapomniałem.

Zderad dobrze czuł się sam.

Ten świat, który wprawdzie niewiele jest wart, ale na pewno nie jest najgorszy ze wszystkich możliwych



światów, nadarza przyjemne chwile nawet tym, wobec których na ogół zachowuje się grubiańsko. Oto na slumsy spłynęła słodka, melancholijna rezygnacja i napętniła aż po brzegi norę Zderada niczym przeźroczysty płyn.

Jakiś archanioł z rybim ogonem zdawał się ćwiczyć na niewidzialnej trąbce sądu ostatecznego, by na tę sposobność mieć dobre zadęcie, ale zamiast ostrych fanfar produkował coś na modłę rzewnie lamentacyjnego bluesa.

Po lekko zaróżowionym i pozieleniałym czole mieszkalnej trumny przemykały cienie jerzyków, a ich zawrotnie kolisty skwir to zbliżał się, to oddalał.

Wyciągnięty na swoim łóżku, Zderad rozpamiętywał swoje przedwcześnie przygaszone życie, którego smak był jednak w gruncie rzeczy słodki. Cierpkość i gorycz, do niedawna jeszcze przesączające je najczęściej, odsunęły się w tło i teraz tylko dodawały przyjemnego posmaku, jaki miewają ziołowe herbaty.

Obrazy rzeczy wynurzały mu się z pamięci i znowu odpływały jak odbicia na wodzie. Odzwierciedlało się w nich całe jego dotychczasowe życie w postaci uproszczonej i zgęszczonej pozwalając przypuszczać, że ma chyba jednak mimo wszystko jakiś sensowny bieg, choć nie dający się uchwycić ludzkiej ograniczonej inteligencji.

W taki sposób podobno defilują obrazy życia przed wewnętrznym wzrokiem umierających, choć w czasie obiektywnym trwa to ledwo мгновение.

\*

Można byłoby ciekawie przedstawić przechodzenie tych fantazmatów i, co za tym idzie, wtajemniczyć odbiorcę w historię i świat wewnętrzny Zderada. Jednym ze sposobów, w jaki to da się zrobić, jest

powolne sączenie kropla za kroplą wspomnień w trakcie opisywania zdarzeń teraźniejszych.

Tej, znakomitej skądinąd, metody literackiej nie zamierzamy jednak tutaj aplikować, albowiem wydaje nam się, że byłaby nie na miejscu. Z drugiej strony niejaka niecierpliwość nie pozwala nam jednym ciągiem przedstawiać szczegółowo przeszłości Zderada, dlatego też ograniczymy się do ogólnego schematu jak przy opisie jego mieszkania.

Nie przekonują nas grubaśne powieści, gdzie kilka pierwszych tomów wprowadza nas w szczegóły historii głównych postaci, nieraz poczynając od założyciela rodu sprzed kilku pokoleń, po czym akcja właściwa ściśnięta jest w ostatnim, trzecim lub piątym tomie. Niezależnie od tego, że konsumenta uderza się tu po kieszeni, uważamy ten rodzaj produkcji literackiej za cokolwiek nużący.

Zderad był świadom tego, że dorasta w przeciętnej, średnio zamożnej rodzinie jako uzdolniony chłopiec, rokujący najlepsze nadzieje. Widział się, jak zupełnie bez trudu przepływa protektorat i u jego końca wynurza się w stronę lepszego jutra.

Potem usłyszał trzask i spadła przed nim krata. Z poczuciem, że to przecież niemożliwe i jest to z pewnością tylko zły sen, obserwował Zderad całkowitą destrukcję swoich dotychczasowych losów.

Jego ojciec, nieszkodliwy despota o przestarzałych poglądach, pewnego dnia zniknął jak latawiec, co zerwał się ze sznurka. I tak jak znikający w firmamencie latawiec ciągnie za sobą swój ogon, ojciec pociągnął za sobą wszystko, co tworzyło obecne i przyszłe życie Zderada.

Kiedy piszemy te słowa, przejadły się już chyba horrory o komunistycznych mamrach; i my nie zamierzamy się nimi delectować. Niech będzie jednak wiadome, że ojca Zderada trachnęli pewnego dnia w biu-

rze i po jakimś czasie wydali oświadczenie, że popełnił samobójstwo w areszcie śledczym. Nikt się nigdy nie dowiedział, jakiemu śledztwu został poddany.

Matka Zderada tego nie przeżyła.

Siostra Zderada ni stąd, ni zowąd zniknęła.

Jako bardziej ludzką, sympatyczniejszą wypada przyjąć hipotezę, że uciekła na Zachód. Jednakże solidny kontyngent sadystów w szeregach Bezpieczeństwa Publicznego uprawniał i do innych ewentualnych interpretacji.

W procesie czystki klasowej niebawem, nie wiedzieć jak, przepadły i drobne bogactwa tudzież mienie rodziny, i — oczywiście — wyższe studia Zderada. W zamian powołano go wkrótce do służby wojskowej.

Prawdopodobnie dzięki jakiemuś administracyjnemu niedopatrzaniu nie posłano Zderada do czarnuszków w pomocniczych batalionach technicznych, toteż służbę odbył z bronią w ręku jako zwykły żołnierz w ciągu przepisowych dwu lat. Po czym Zderad znalazł się za bramą koszar i praktycznie na bruku.

\*

W tym okresie życie Zderada osiągnęło swój obecny, pośmiertny jak gdyby stan. Skończyła się agonia i nastął spokój słodkiej żywej śmierci.

Choć Zderad nie pamięta nazwiska, narodowości, ani w której dziejowej wnęce go umieścić, ale to najprawdopodobniej jakiś filozof twierdzi, że wibracje mentalne przyciągają scenierię zewnętrznego losu. Widać coś w tym jest, gdyż praca Zderada zaczęła się odłąd cechować stosownymi właściwościami.

Mentalnym okiem dostrzega siebie na płaszczyźnie stawu, noszącego nazwę Poślaniec.

Błaszana motorówka na ropę sennie pyka i na firmamencie rysuje się sylwetka zburzonego zamku.

Stalowymi szczękami motorówka obgryza trzcinę, której witki później Zderad usuwa z drogi widłami.

Po rzadkim lazurze firmamentu płynie ku zamczysku czapla. W trzcinie mamle karp nefrytowymi szczękami, a Jan u steru nuci nieprzyzwoitą pieśń słowacką.

Wieczór po nocy, kiedy się staw napętnia gwiazdami. Zderad weń wślizguje się i płynie wpływ. Po ciepłym letnim dniu woda jest o tej porze najprzyjemniejsza i młodzieniec nie odczuje zmęczenia na dystansie jednego kilometra.

Ale zanim wypuści się na szerokie wody, Zderad natrafia pośród wiklin na kawałek drewna i mocno uderza nim o powierzchnię. Na ten znak z drugiej strony wchodzi do stawu Sylwia i za niecałe pół godziny oboje są na wyspie.

Ten świat nie jest najgorszy ze wszystkich możliwych światów.

\*

— Poślaniec — odzywa się w Zderadzie na głos.

Ἔπαυε, νύκτι ἐς τὴν κολυπηθῶσά σου  
Σιλῶαμ (ὁ ἑρμενεύεται, ἀποσταλμένος)

— Co tam gładzisz? — odzywa się ze złością kobiecy głos. — Zbudziłeś mnie.

Zderad rozwarł oczy i zdał sobie sprawę, że zasnął, że jest już ciemno i że Sylwia powróciła z zebrania i położyła Się na drugiej kanapce. Choć nie

\*Cytat z ewangelii Św. Jana, rozdz. 9, werset 7: „Idź, umyj się w staniu Siloe; co się wyklada Postany”. Albo Poślaniec. Staw miał pewnie nazwę biblijną, tak jak wiele innych, (przyp. autora)

czuł głodu, z zalem pomyślał, że nie zadała sobie trudu, żeby go zbudzić na kolację, pewnie dlatego, że tego wieczoru żadnej kolacji nie było... i że jeziorna romanetyka to bezpowrotna przeszłość. Faktycznie, ulotniła się niezwykle szybko.

To sobie zresztą Zderad uzmysłowił jeszcze jako robotnik Przemysłu Rybnego, przedsiębiorstwa państwowego.

Tajemnicza najada, podczas ciepłych nocy wynurzająca się z głębin jeziora, okazała się zupełnie prozaiczną córką wieśniaka, która studiowała w instytucie nauczycielskim, a wakacje spędzała w domu na wsi po drugiej stronie wodnej tafli. Zderad doznał pewnego szoku wobec jej oczywistej zwykłości już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją za dnia i w ubraniu. Przyczyniała się naturalnie do tego również okoliczność, że była wówczas splekana i odęta ciążą, a także fakt, że towarzyszył jej ojciec, surowy, nieprzyjemny i twardy ewangelik czy też kalwin. Prócz tego rzuciło mu się w oczy, że na dobitkę co nieco utyka, co ani podczas pływania, ani na trzciniowym pośłaniu wyspy nie wychodziło na jaw. To głównie ten defekt rzucił ją najprawdopodobniej w ramiona pomocniczego robotnika bez przyszłości. Zderad bowiem od początku nie taił przed nią swojej sytuacji życiowej, choć przecież z łatwością mógł udawać, że jest studentem lub ma jakąś inteligentną profesję.

Wielu mędrców wielokrotnie bardzo trafnie podkreślało, że klasowy profil nagiego człowieka nie da się praktycznie stwierdzić. Jak wiemy, również klasyk narodowy przywołuje w tym kontekście przygodę pana Bożeciecha.

Zwierzał się Sylwii niemal ze wszystkiego, kiedy leżeli pod niebem rozświetlonym gwiazdami i księżycem, wsłuchując się w nocne dźwięki ogromnego stawu, gdyż niezależnie od przyjemnej strony tych

schadzek odczuwał potrzebę poufałej z kimś rozmowy. Ta idiotyczna, z punktu widzenia mądrości wielkoświatowej, szczerota sprawiła, że bez trudu mogli go później, kiedy jesienna pogoda przerwała schadzki, odnaleźć.

Tymczasem sam o Sylwii nic nie wiedział, zdaje się nie znał nawet jej imienia, gdyż to lepiej odpowiadało jego romantycznemu bzikowi. Brutalna materializacja rusałki dosyć go przygnębiła. Było bowiem oczywiste, że marzycielską pośmiertność jego egzystencji nader łatwo zranić i że obiektywna rzeczywistość w każdej chwili może ją zniszczyć, co było odrażające i samo w sobie, i z punktu widzenia powstałej sytuacji. Dzienna, prozaiczna Sylwia posiadała i inne niedostatki. Nie grzeszyła zbyt wielką inteligencją, i ten niedostatek zastępowała odrażającym moralizatorstwem belferskim. Była przy tym niestety wystarczająco mądra, żeby zdawać sobie sprawę, że pod tym względem Zderad zdecydowanie ją przewyższa, toteż niebawem dawała mu do zrozumienia, że tej jego przewagi zupełnie nie ceni.

Prócz tego, jak wszystkie piegowate i rudawe blondyny, dość często mocno pachniała potem, co w wiadomych okolicznościach odbywanych schadzek również nie mogło wyjść w porę na jaw. (Dodajmy, że w czasach naszej opowieści imperialistyczna dekadencja dezodorantów była wciąż jeszcze sprawą przyszłości.) Wypada zaznaczyć, że Sylwia była bardzo mocną kobietą, i to zarówno fizycznie, jak i pod względem tak zwanego charakteru. Ujawnia to zresztą już sposób, w jaki powstała opisywana sytuacja. W zarysowujących się okolicznościach miało to wszakże i swoje ujemne strony, gdyż Sylwia trzymała się go jak pijawka, a wobec całego świata, w tym i swojej rodziny, broniła go.

Raz odstonięta przed światem, jeziorna afera

Zderada stała się określoną sensacją lokalną na szerokich brzegach stawiska i okolic i z tego choćby powodu trzeba było uwolnić się od chomąta. Sprawę można było wprawdzie traktować również z pewną sympatią, a nawet zawiścią, jednakże to jej nie rozwiązywało, raczej wprost przeciwnie. Przyjemne, bojaźliwe istoty z reguły rzucają się ze wściekłością na wszystko, co im stawia przed oczy własną nudną bylejąkość, jeśli naturalnie mogą sobie na to pozwolić, a w tym przypadku pozwolić sobie na to mogły.

Prócz tego rustykalni krewniacy Sylwii wykazali charakterystyczną twardość. Te wszystkie czynniki wytworzyły w efekcie obecną sytuację życiową Zderada. Miał osobiwą, niezbyt opłacalną pracę, znużoną, zgorzkniałą i bynajmniej nie luksusową małżonkę, mieszkalną trumnę w dzielnicy slumsowej i przede wszystkim synka, o którego nie byli zdolni w pełni się troszczyć, toteż musieli go oddać na pastwę edukacji socjalistycznej w przedszkolu.

Ta okoliczność chronicznie doskwierała Zderadowi, gdyż czytywał kiedyś książki psychologiczne i wiedział, że izolacja od rodziców ma poważny wpływ na małpiątka, a więc najpewniej również na dzieci.

\*

— Nic, nic, śpij — mówi Zderad z irytacją, chociaż formalnie przepraszająco. — Przysnąłem. Miałem paszkodną pogodę. Łało. Dzisiejszy zarobek jest w dzbanku. Czterdzieści koron. Zostawiłem sobie na tramwaj i jedzenie. Zbudź mnie rano, jak będziesz szła do szkoły. Muszę zasuwać aż na drugi koniec miasta. Wybacz, ale musiałem ci to powiedzieć. Jeszcze się rozbiore. Nie gniewaj się, że cię zbudziłem.

Sylwia tylko coś odburknęła.

Zderad po cichu wstał i ostrożnie, żeby nie robić

hałasu, przebrał się po ciemku wkładając na siebie lekko podarte spodnie od piżamy i jakąś koszulę zamiast górnej części piżamy, dawno już zniszczonej. Po czym zagrzebał się w pościeli.

Łagodzone o zmierzchu słodką rezygnacją, z całej siły zalały go teraz gorycz i cierpkość, niczym głębinowe nurty w jeziorze Połaniec, lodowate i cuchnące bagnem.

Westchnął, wyszeptał ordynarną klątwę i wstał w głąb swojej medytacji. Ujrzał siebie leżącego na deszczu u krańca jakiejś zgęstwiałej od ciemności próżni, w której jego wyciągnięte ręce nic nie mogły wymacać. Z wolna jednak zapadł w twarde sen, który na kilka godzin do cna przyćmił mu niemiłosierną świadomość.

\*

Przebudził go dźwięk głucho dudniącego ciurkotu, który w pierwszej chwili wziął za budzik.

W „Słowie wstępnym” zaznaczyliśmy, że w niektórych partiach będzie to książka cokolwiek odrażająca, i właśnie teraz to nastąpi. Jeśli chcecie, możecie spokojnie ten fragment opuścić bez obawy, że wasze ogólne zrozumienie ciągu wydarzeń dozna ujmy. Jedną z niedogodności slumsowych nor jest brak ułatwień higienicznych. Zauważcie, że opisując trumnę Zderada nie wspomnieliśmy o żadnym wodociągu lub faziencie czy te pe. Wodę trzeba było brać z jednego kranu, umieszczonego na zewnątrz, i zawsze rano, a często i kiedy indziej, stała do niego kolejka. Stosunkowym komfortem był fakt, że każda galeryjka miała swój kran. Również podobnie miała się rzecz z wychodkiem, który ciemniał na końcu każdej galeryjki. A że dzielnice slumsowe bywają często zamieszkałe przez drobnych przestępców (wielcy zbrodniarze, jak wiadomo, osied-



łają się na ogół w dzielnicach willowych), należy na noc drzwi od trumnyjak najdokładniej zaryglować. Nie wskazane jest przy tym ich ponowne otwieranie w nocy ze względu na spokój domowników i sąsiadów. Poza tym to żadna przyjemność wychodzić po ciemku na zewnątrz, co też naturalnie zależy od pogody. Z tych wszystkich względów otacza się tutaj szacunkiem prastarą instytucję nocnika, którą, jak wiemy z odpowiedniej literatury, znali już starożytni Rzymianie. Morfologia, socjologia, problematyka historyczno-artystyczna i inne uczone aspekty nocników są fascynujące, ale niestety nie mieszczą się w naszym kontekście. Niektóre rzadkie egzemplarze urnałów z delikatnej porcelany, ozdobione ornamentami i żartobliwymi napisami, są wciąż jeszcze dosyć często u nas i za granicą pokazywane turystom w byłych i funkcjonujących dotychczas siedzibach arystokratycznych. Po tej preambule zrozumią się staję przyczyna dudniącego ciurkotu i chyba możemy sobie darować egzemplifikacyjny opis.

Wyobrażenie szczającej na nocniku kobiety mocno Zderada podnieciło seksualnie, co chyba męskich czytelników nazbyt nie zdziwi. Istnieje zresztą książka, napisana przez jakiegoś psychiatrycznego Kubusia Puchatka ze Szwajcarii, która mimo niewinnego tytułu *Trieb und Kultur* nie zajmuje się niczym innym jak właśnie tą cokolwiek nieapetyczną, istniejącą jednak stroną ludzkiej i zwierzęcej psyche. Publikuje się w niej, w celach naukowych oczywiście, szereg pornograficznych wizerunków siusiających samców i samic.

Zderad nie odważył się jednak otworzyć oczu i obrócić głowy, aby nie spłoszyć swojej prawowitej małżonki i nie obrazić jej intymnych uczuć. Kobiety są oczywiście też lubieżne, ale często nie obejdzie się bez ceregieli i błyskotek, o które mężczyźni niestety muszą zadbać, jeśli chcą doprowadzić do kontaktu płciowe-

go. Zderad ani myślał o takich głupstwach, zastanawiał się tylko, czy ma, czy raczej nie ma zbliżyć się erotycznie do żony, kiedy już zakończy czynności fizjologiczne.

Biedne żony z reguły są zmordowane i zgorzkniałe, zawiedzione w swoich nadziejach i tępe, i ulegają mężom wyłącznie ze strachu, gdyż zrozpaczony prymityw umie wymusić powolność nie zważając na spustoszenia emotywnie, wstyd przed sąsiadami i te pe.

W przypadku Zderada kombinacja umysłu inteligenta z kabzą proletariusza była rzeczą o wiele gorszą. Mimo pożądanego zniechęcało go ryzyko od-mowy i zastanawiał się, czy raczej nie wyobrazić sobie zawrotnej wspinaczki na wieżę kościelną lub szczytu-jącą skalną ścianę, i znowu usnąć.

Lecz jak to na ogół bywa, zwyciężyła żądza i Zderad po ciemku na oślepiec wymacał kanapkę mał-żonki. Rzecz niebywała, Sylwia przyjęła go bez nie-chęci, choć też i bez zapału, i spali w fanfarach brzasku.

Zderad się nie domyślał jednak, co się za tym kryło.

### ROZDZIAŁ III

— Gdzie jest Tuma? — skrzeczał Turgo jak papuga. — Pewnie się idiota znowu schlał, zupełnie na nim nie można polegać. Poczekamy pięć minut. Na szczęście tu nie ma takiego bajzlu jak na centralniaku, więc nic się nie stanie. Jak nie przyjdzie, zaczniemy bez niego. Zderad! Trudno i darmo, musisz wziąć pierwszy głos. Podam ci to pół tonu niżej. Kruta! Ty śpiewaj jak zwykle, tak jak umiesz lub jak to jest napisane. No, a ja furt będę improwizować, muszę uważać, żeby tercje nie były puste. Pomogą też organy. Śpiewać się będzie tylko w kaplicy, a stary Wowes nie ma słuchu muzycz-nego. Guzik pozna, czy śpiewa czterech czy trzech albo dwóch. Toteż nie będzie się nic mówić, a jak zapłaca, gówno dostanie. O jedenastej mamy być znów na

centralniaku, tam się ten bęcwał chyba przywlecze. No już, wiarusy, zaczynamy! Idiota!

Awansowany do roli pierwszego tenora, czuł Zderad nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Właściwie żadna sprawa: w kaplicy będzie trzech ludzi na krzyż, nie jest to żaden ważny pogrzeb, proboszcz nie ma słuchu muzycznego, śpiewać się będzie i tak z organami, więc nie sposób się pomylić. Najpierw idzie parę odpowiedzi unisono, potem dopiero jakieś tam „Ścichły usta, zmiłkły wargi”, no, najwyższe, co tam jest, to jakieś as, raz na jakiś czas to wyciągnie. Nawet gdyby mu się głos załamał, nic nie szkodzi. Żadni z nas śpiewacy operowi, jesteśmy ścierwopiewcy, muzyczne doły. Więc skąd, do diaska, ta trema? Doznaje uczucia, jak gdyby za chwilę miał wyjść ze skóry. A wszystko jest po staremu. Głodny też nie jest, Sylwia mu rano zrobiła wyjątkowo obfite śniadanie. Chleb ze smalcem gęsim i wątróbkami, widać przystali jej z domu — widać ten kalwin zmiękł... Miał ją też w nocy, po dłuższej przerwie — to na ogół niweluje stresy. I spał wystarczająco.

Więc skąd, do diaska, ten stres.

Już mu się nawet dłonie pocą — tego od dawna nie miał. Niech to piorun!

Człowiek właściwie ma bardzo mało władzy nad własnym ciałem i duszą.

\*

Po czym zobaczył tamtego.

Tuż pod chórem, kiedy właśnie tam szli.

Właściwie to o nim już jakoś zapomniał.

Wczoraj, o ile się nie myli, nie było go.

Przedtem przychodził, ale Zderad zawsze sobie mówił, że to jakiś wariat, który nie wie co robić z czasem, inkasuje rentę inwalidzką i chadza chętnie na

pogrzeby. Było wprawdzie dziwne, że na takie mnóstwo pogrzebów w Mieście pojawiał się tak często akurat tam, gdzie znajdował się Zderad, ale może podobał mu się kwartet męski.

Poza nimi były jeszcze inne, rzecz jasna, i to liczne grupy ścierwopiewców. Sam znał ze trzy.

No, ale cóż, powiedzmy.

Dziwne zresztą było i to, że Zderad zwrócił na tego człowieka uwagę.

Ludzi tu bywa przecież sporo.

Zawsze jakoś tak stawał. Albo w kaplicy, albo przy grobie, trochę z boku, między nagrobkami. Nie było w nim nic szczególnego, no, może tylko te wodniste oczy, ale Zderadowi robiło się na jego widok mdło i nieswojo. A poza tym, ilekroć on się zjawił, przechodziło Zderada jakieś dziwne, lodowate mrowie. Nieraz czuł to mrowie i bojaźń, zanim się ten człowiek zjawił.

Wszystko to można by było jeszcze wytrzymać, ale kiedyś ten człowiek zachowując pewne oddalenie wręcz szedł w ślad za nim. Wtedy się Zderad odwrócił i ruszył prosto w jego stronę. W pewnym momencie drogę mu przestonił przejeżdżający tramwaj, ale kiedy już przejechał, facet gdzieś zniknął.

To chyba tylko przywidzenie, myślał Zderad. Cierpię na manię prześladowczą, zaczynam świrować. Pewnie wcale, ale to wcale za mną nie szedł, mógł przypadkiem iść w tym samym kierunku.

(Czemu więc tak szybko zniknął?)

Ał, niech tym się martwi koń, on ma wielki łeb.

Nie zapominajmy, że Zderad był młodym człowiekiem i jako taki wciąż jeszcze, mimo swojego nieprzychylnego losu, był dosyć beztroski.

Zadowolił się przypuszczeniem, że to był osobliwy przypadek i już zanadto się facetem nie przeje-

mował. Tajniak? A cóżby on teraz mógł takiego wyśledzić? Toż przed laty go nie potępili, chociaż zapewne mieli taki zamiar. Jak tylko został „unicestwiony klasowo”, przestali się nim już interesować. Zresztą pewnie obserwowali go jeszcze podczas dwuletniej służby wojskowej i musieli dojść do wniosku, że jest zupełnie nieszkodliwy. W końcu, diabli ich wiedzą. Dziwne są ścieżki Pańskie i szlaki błędnych umysłów. Ale że zjawił się również tutaj? Tu, gdzie normalnie oni nie chodzili...?

\*

Idąc na chór musiał Zderad niemal otrzeć się o faceta i wtedy poczuł, że z całej siły wionęło na niego trupią grozą. Facet na niego gapił się jak najęty, co do tego nie było żadnej wątpliwości.

Miał chyba już po trzydziestce, i to dobrze po trzydziestce, był średnio wysoki. Twarzy jego właściwie nie można opisać, gdyż nie było w niej nic ogólnie charakterystycznego. Był z tych wymoczkowatych, bladych blondynów, których włosy i skóra mają niemal tę samą, żółtawo-pędrakowatą barwę. Tego typu blondyni po większej części nie ciemnieją z wiekiem, w przeciwieństwie do ogromnej masy płowowłosych nastolatków. Włosy tego faceta zdawały się jakby wyblakłopszeniczne, ale raczej wpadały w odcień popielaty, zresztą nie było ich już zbyt wiele. Policzki miał szerokie, miękkie, nadające mu cokolwiek żabi wygląd. Nos nieokreślony, najprawdopodobniej równy. Charakterystyczne miał natomiast uszy — okrągłe i, mimo że niewielkie, odstające, jakby na sposób Szwejka. Jednak najbardziej uderzające były oczy.

Oczy tego rodzaju ma określona kategoria pstrokatych psów i królików, chociaż u nich na ogół jeden

slip jest ciemny, a tylko drugi — właśnie taki. Podobny charakter mają też oczy pewnych ryb. A także albinoskie kawki i kanie mają podobne oczy. Były to oczy wodniste, szaroniebieskie, w kształcie cokolwiek żabie i jakby niewidome.

Facet miał wygląd przygarbionego, jakby się w jakiś sposób podkradał chyłkiem, trochę jak bojaźliwy pies, ale w jego postawie było też coś groźnego.

Jak u hieny.

Brzmi to przesadnie i tanio, ale właśnie taki był.

Ciekawe, że niektóre artystyczne kiczowatości faktycznie w przyrodzie występują. Na przykład krwawe zachody słońca. Niechże mi ktoś wyjaśni, dlaczego w oryginale to nigdy nie razi.

Ale, jeśli wolicie, to ten człowiek nie przypominał hieny.

Ubrany był dość elegancko. Jak na miejsce i czas opowieści, aż za bardzo.

Ki diabeł, pomyślał sobie Zderad podchodząc do balustrady chóru. Facet stał teraz jakby bliżej ołtarza i gapił się, bez najmniejszych skrupułów gapił się na chór.

Wtym momencie jednak Turgo uderzył w klawiaturę organów i zaczął się obrzęd pogrzebowy.

\*

Fatyga, spotęgowana potrzebą wywiązania się z zastępczej roli pierwszego tenora, pozwoliła Zderadowi zapomnieć o facecie. Nie zwracał na niego uwagi nawet później, na cmentarzu centralnym, choć facet i tam się zjawił i znów tak wodniście, i w sposób albinosko krogulczy się gapił. Tuma bowiem nie przyszedł również tutaj, toteż Zderad, jego doczesny substytut, miał pełną gębę śpiewania w nienaturalnej dla

siebie tonacji. Nie żałowali Tumie wyzwick, ale później było im wstyd.

W tym czasie bowiem Tuma spoczywał już w Panu, uśmiercił go zawał. Z samego rana.

\*

Miejsce Tummy zajął później niejaki Kukula, zupełnie niepozorny człowieczek z pięknym głosem, który naprawdę zasługiwał na lepszy los. Wywodził się również, tak jak Zderad, z dawnej inteligencji, jako że studiował wseminarium duchownym i nie wyświęcono go na księdza, gdyż nastąpiła rewolucja komunistyczna.

W gruncie rzeczy od święceń chciał się wykręcić już wcześniej, toteż objęcie władzy przez sprawiedliwy porządek świata nie miało na jego upadek w tym przypadku bezpośredniego wpływu. Mógł oczywiście zawsze powiedzieć, że, towarzysze, sam rzuciłem kościół, co by mu przecież się opłaciło. Może mu to jednak nie przyszło na myśl lub był swego rodzaju uparciuchem. Choć wykazywał nieprzeciętną muzykalność, to poza tym okazał się dość głupi i trudno z nim było o czymkolwiek gadać, jak z żalem stwierdził Zderad.

To tylko tak dygresyjnie, gdyż Kukula nie jest ważną postacią tej opowieści, choć będzie się w niej jeszcze pojawiać.

Również mimochodem nadmieniamy, że pogrzeb Tummy odbył się bez uczestnictwa ścierwopiewców. Nie wiemy nawet, w jaki sposób został pochowany. Jest oczywiste, że nie stać go było na pochówek z żałobnymi pieniami, a jego dłuгоletnim kompanom nie przyszło nawet do głowy, żeby przez niego tracić skromne honorarium, jakie podczas jego pogrzebu mogli zarobić gdzie indziej.

Młodzięńczo idealistyczny Zderad wprawdzie coś tam nieśmiało bąknął, ale bez powodzenia.

Tak to się dzieje nader często i, jak przypuszczam, nie jesteście zaskoczeni. Przejawy przyjaźni, lojalności i te de rozrzewniają nas właśnie dlatego, że są tak rzadkie i nieoczekiwane. Absolutne machnięcie ręką scierwopiewców na trumnę Tummy to rzecz dająca się z wielką dozą prawdopodobieństwa przewidzieć i dlatego w ogóle, ale to w ogóle nas nie porusza.

\*

Wydarzenie z Tumą i pewne zaciekawienie Kukulą pozwoliły Zderadowi ponownie zapomnieć o facecie. Ten zresztą po owym dniu, gdy zabrakło pierwszego tenora, też gdzieś przepadł. Umysł Zderada zaprzętały inne, intymniejsze sprawy, które obserwował z umiarkowaną radością. Wydawało się, że w Sylwię wstąpił jakby nowy duch.

Choć miała teraz jakoś więcej jeszcze zebrań niż zwykle, nie skarżyła się na zmęczenie i męczenie, i nawet była miła wobec swojego męża. Odrodziła się ich małżeńska zażyłość, i to do tego stopnia, że na dnie mechanicznej rutyny dało się niemal wypatrzeć odbłaski dawno minionej romantyki jeziorowej.

Sylwia nawet jakby wyładniała, co Zderad przypisywał rewitalizacji ich stosunków.

W trumiennej pieczarze mieli nagle, jakby za skinięciem różdżki czarodziejkiej, w bród jedzenia, chociaż nigdy dotychczas to się nie zdarzało. Pewnie przysyłał je stary kalwin, respective jego wystraszona połowica. Była nadzieja, że z czasem całkowicie zmięknie i swoją chamską szczodrobliwością zagarnie całą rodzinę nieproszonego zięcia.

Podobno zapamiętała się bronił przed przystąpieniem do spółdzielni wiejskiej, ale w owym czasie nikt dobrze nie wiedział, jak kolektywizacja się rozwinie lub bodaj jak będzie przebiegać, a Zderad, zupełnie nie



wprowadzony w sprawę, nie przejmował się ewentualnym i obiektywnie prawdopodobnym losem teścia. Łudził się wręcz, że dostąpi w końcu jego łaski i otworzy się przed nim na oścież jego mlekiem i miodem płynący eden.

Zmianę w zachowaniu żony przypisywał Zderad polepszeniu się jej stosunków z rodzicami i specjalnie się nad tym nie zastanawiał.

Dni nabrały teraz rumieńców niemal jak pączki w maśle, a noce znowu rozkwiwały aksamitnie.

Świat rzeczywiście nie wydawał się najgorszy z możliwych światów.

\*

Tego dnia było ciepło, ale pochmurno. W takich dniach roją się mrówki, jeśli oczywiście jest to późne lato.

Zderad właśnie odwalił roboczdniówkę, zgarnął lichą zapłatę i ruszył do domu. Po drodze musiał ominąć jakiś tłum, pewnie wracający z innego pogrzebu, więc skręcił na ścieżkę pomiędzy grobami.

Wtem facet z tyłu pociągnął go za rękaw.

Wyszedł cicho zza nagrobka, dotknął Zderada ręką i wlepił w niego rybnie spojrzenie:

— Mam panu coś rzec.

— W niektórych częściach Czech mówi się tak do dzisiaj, ale na ogół mieszkańcom tego kraju takie wyrażenie, jeśli już jest znane, to jedynie ze starych czytanek. Tak bowiem do chłopca zwraca się kostucha w pierwszych słowach ludowej rymowanki na temat ostatnich spraw człowieka:

Mam ci coś rzec — Śmierć pocznie —  
masz ze mną iść niezwłocznie.

Facet, prawdopodobnie mimo woli, zdaniem tym

spotęgował potworność swojej nagłej materializacji, toteż pod Zderadem ugięty się kolana. Okropny strach napełnił jego wnętrze, krew mu odpłynęła z twarzy. Facetowi gęba się rozciągnęła w złośliwym uśmiechu, na który nie ma w czeskim języku literackim odpowiedniego określenia. Gdybyśmy pisali po słowacku, powiedzielibyśmy, że „sa uszkrknul”.

— Proszę się nie bać — powiedział. — Chcę panu tylko coś rzec. Niech pan idzie do... (tu wymienił numer i literę kwartału cmentarnego)...i tam poczeka na mnie. Proszę się nie oglądać. Za chwilę przyjdę. I proszę nie uciekać! Bo zostanie pan aresztowany...

Ostatnie słowa wywołały nową eksplozję przerażenia i Zderad jakby oszołomiony, na trzęsących się nogach szedł na wyznaczone miejsce. Ze dwa razy poszedł w inną stronę, choć cmentarz znał doskonale, i musiał zawracać.

W końcu doszedł dysząc ciężko jak po wielkiej facydze fizycznej.

\*

Miejsce, na które poszedł go facet, znajdowało się w starej, praktycznie nieuczęszczanej części cmentarza. Pod murem ciągnęły się szeregi grobowców rodzinnych byłych rodów patrycjuszowskich, zbudowanych w rozmaitych stylach historycznych. Napisy na wszystkich tych grobowcach były w języku niemieckim. Przed oczyma ewentualnych przechodniów zasłaniały je gęste, zapuszczone krzewy.

Nikt o nie się nie troszczył, gdyż ich właściciele zostali repatriowani, ale oczywiście nikt tych grobowców także nie niszczył ani nie usuwał. Pozostawione same sobie, zarastały coraz bujniejszą roślinnością przedstawiając obraz romantycznego ostępu.

Zderad słyszał, jak mu bije serce niby akompaniament do ptasich i owadzych dźwięków. Intensywnie też potniał.

Wtem zjawił się facet, i tym razem jak duch. Ponownie uśmiechnął się tak jak poprzednio, poczym sięgnął do kieszeni i wyjął jakąś fotografię. Bez słowa podał ją Zderadowi.

Przyjrząwszy się jej, Zderad stwierdził, że nie jest to obrazek, lecz fotokopia jakiegoś tekstu. Jakiego, mógł dociekać dopiero po chwili, kiedy opanował drżenie ręki.

Tymczasem facet wygodnie usiadł sobie na pobliskim sarkofagu i zapalił papierosa, którego wyjął ze srebrnej cygarnicy. Zapalniczkę miał również eleganczką. Cygarnicę podsunął także Zderadowi, ale ten nie zwrócił na to uwagi. Ostatecznie udało mu się uspokoić rozdygotaną rękę i, choć wciąż jeszcze latały mu przed oczyma migotliwe płatki, tekst już widniał przed nim jasno.

Była to zwykła, dawno już zrobiona fotokopia, tak zwana negatywna, czyli że prezentowała białe litery na czarnym tle. Za to litery nie były zwykłe, zwłaszcza jak na fotokopię. Przynajmniej w naszej szerokości geograficznej.

Była to bowiem greka.

Kiedy już Zderad zdołał odczytać pierwsze słowa greckiego tekstu, który nie był mu obcy, ogarnęła go niesamowita groza. Uzmysłowił sobie bowiem, że najprawdopodobniej już z nim koniec i że facet ma praktycznie nad nim absolutną władzę.

\*

Od wiosny 1968, kiedy przez krótki czas pisano o śmierci Jana Masaryka, tego rodzaju grozę eufemistycznie nazywa się „śmiertelną trwogą”, zwłaszcza że

się materializuje pewną intymną relikwią. Ten dopust boży nie zdarzył się Zderadowi, gdyż opuściwszy na sarkofag fotokopię, zdążył jeszcze dać nura w biało kwitnące zarośla.

Widząc reakcję Zderada facet szalenie się ucieszył. Wodniste oczy cokolwiek mu się ożywiły i odstąpił szerokie, zażółcone zęby. Podniósł upuszczoną fotokopię i zaraz też ruszył w stronę zarośli, które z jakąś najwyraźniej obsceniczną ciekawością rozgarnął.

— Precz! — huknął na niego wściekle Zderad.

Zaraz jednakowoż umilkł, ponieważ facet wymownie pomachał w jego stronę fotokopią.

#### ROZDZIAŁ IV

Było ciemno. Sylwia jeszcze nie wróciła, pewnie uczestniczyła w jakiejś wybitnie produkcyjnej naradzie, gdyż zbliżała się już północ.

Latarnie uliczne rzucały zielonawe światło na wewnętrzne ściany mieszkalnej trumny,

Zderad leżał w pościeli i nie mógł usnąć. Głowa mu płonęła. Dochodziły w nim na przemian do głosu wszystkie możliwe uczucia jak kombinacje na wielkim instrumencie organowym. Był po prostu rozkojarzony. Chwilami zdawało mu się, że popadnie w obłąd lub już popadł i wszystko to tylko halucynacje.

Sytuacja, w której się znalazł, była wręcz nieprawdopodobna. Zderad, zdaje się, lubił osobliwe sytuacje życiowe, o czym nas przekonuje fakt, w jaki sposób zdobył żonę, i właściwie również okoliczność, w jaki sposób zarabiał na swój cienko posmarowany chleb.

Jednak to, co się stało teraz, przewyższało wszystkie jego najbliższe fantazje.

\*

Właściwie nawet dobrze nie wiedział, jak tego wieczoru dobrnąć do domu. Nic od południa nie jadł, ale nie czuł głodu. Niejasno sobie przypominał, że po drodze do domu wymiotował i zapaskudził kratkę ściekową. Jakiś babsztyl, który go obserwował, nie darował sobie nader głośnego komentarza na temat pijaków.

Potem jeszcze dwa razy musiał wyskakiwać ze swojej nory i galopować galeryjką. Mdlіło go i mdlіło. Pragnął się wykąpać, ale w jego slumsowym mieszkaniu było to wielce skomplikowane. Należało bowiem nanosić wody z zewnątrz w kociołkach i garach, podgrzać ją na kuchence i wlać do cynowej wanienki, nie mówiąc już o problemie, jak się potem zabrudzonej wody z kolei pozbyć. Zderadowie robili to każdej soboty, z tym że główną siłą roboczą była Sylwia. W chwili obecnej nie miał Zderad na to dosyć sił. Niedorzecznie przy tym przypuszczał, że pewnie by to przyciągnęło uwagę sąsiadów i mógłby się tą nowoczesną kąpielą jakoś zdradzić, co było rzecz jasna rozumowaniem bezsensownym.

Zderad jednakowoż nie był zdolny myśleć w kategoriach realnych. Zatem nie kiwnął nawet palcem i czuł się niezwykle brudny i lepki.

Bardzo cierpiał.

\*

Najprościej będzie zacząć od przedstawienia treści fotokopii, którą ten facet pokazał Zderadowi. Oto, co bowiem na błąszczącej fotokopii widniało napisane białą na czarnym:

## ΨΑΛΜΟΣ ΔΑΥΙΔ: ΨΑΛΜΟΣ.

Σὲ τάλιν, ἀνάξ, ἀγαμέ σε, σὺ λευκολίθω ἐπὶ Κρέμω  
ἔξομενος κράτεις πάντας ῥώστας Τατάρους τε  
καὶ πολλῶν ἔθνων βίωων ἀμείψμα κέρημα·  
ἔν κονίῃ ἔρασόντες θεοῦ ὡς εἰσοβώσων.  
Σοῖδε μέγας στρατός ἐστὶ βροτάκωνος ὃς δ' ἐν χώρῃς  
ἀλλοδαπῶν φορέει ὀϊζὺν καὶ κρηὰ μέλαιναν·  
Ἀνάξ σιλήσωνσι βίαι καὶ βιάζωνσι θυμακῆς  
ἰστολόγους ὅτι κλιπτόντων τοὺς ἀνδρες ἀγαυοὶ  
ἐν καρπῶς φορέουσι τὸ γὰρ μέγα θάυμα ἰδεῖναι.  
Ἄλλοι γὰρ κεικόμενων ἰδίῃσι πρακτεῖέσων  
σὺ δ' ἔλθων ἀέρις ὅτι τοὶ κρατός ἐστὶ μέγιστον  
Χεῖρας καλλύμενος πολλοῖσιν ἰστολόγοισιν  
ἔξομενος ὄρῃας χρονοδείγματα κούδι γαῖων  
Πάντες διεβίωτες κινέουσι ποδάς τε πύγην τε  
Αὐτός γὰρ κράτεις καὶ ὄντινᾶ οὐκ ἐφίλησας  
πέμπας Σιβηρίας χώρας εἰς λάρρα; ἦδ' κρῖονας  
διεραῖσιν στυγερῶσι διδμηνοὶ ἦε δυνῶσιν  
Φωσῆς γαῖης πάντες ἀνδρες τε θυμακῆς  
εὐχόμενοι στυγίοντων ἐπὶ θεός ἐστὶ μέγιστος  
Ἥλιω αὐτοῦ φηοῦ σου ἔμμεται ὄμμα  
καὶ Στάλινοσ πόρδην φηοῦ φολοέντα χειρῶνός

*Stalinski*

(Przekład:

Stalinię, władcę, czczę cię. Z biłokamiennego Kremla  
mocarnie panujesz nad Rosjanami, Tatarami i nie-  
zliczonymi głowami wielu innych narodów. Nurzając  
się w prochu spoglądają na ciebie jak na boga. Twoja  
wielka armia zabija śmiertelników, a cudzoziemskim  
krajom niesie zagładę i czarną śmierć. Twoi ludzie  
zabijają mężczyzn i gwałcą kobiety, kradną zegarki,

które wzniosli mężowie noszą na nadgarstku, co dla oka stanowi wielkie zdumienie. Inni je wytworzyli fachową umiejętnością, a ty zjawiając się zabierasz je, bo ty masz władzę największą. Okrywszy ramiona niezliczonymi zegarkami, usiadłszy w jaśniejącej chwale, spoglądasz na wskazówki czasu. Wszyscy, ogarnięci zgrozą, całują twoje nogi i rzyć. Sam bowiem panujesz i tych, którzy ci się przestaną podobać, posyłasz na Sybir do obozu, gdzie marzną skuci tęgimi okowami i umierają. Wszyscy mężczyźni i kobiety ziemi rosyjskiej z przerażeniem modlą się do ciebie, gdyż jesteś największym bogiem. Na widok słońca mówią, że to twoje oko, a kiedy zagrzmie błyskawica, że to pierdnięcie Stalina.)

\*

Nieliczni, zdolni zrozumieć tekst grecki, jak też normalna większość, która przeczyta przekład, pojmą rzecz prosta, że w okresie, o którym mowa, ten niewinny ogólnie rzecz biorąc wierszyk był praktycznie aktem zgonu dla swojego twórcy.

A tu, jak pewnie spostrzegł już inteligentny czytelnik, autorem wiersza był wymieniony pod spodem Zderad. Stąd śmiertelny szok, którego doświadczył nasz bohater, gdy mu wybladły facet podetknął zniemacka przed oczy jego tekst.

Z góry wykluczmy wyobrażenie, że ta osobliwa historia wpada w ręce któregoś z mętnych intelektualistów zachodnich w postaci, co jeszcze mniej wyobrażalne, przekładu czy też w oryginale, czyli przed okulary i wąsy jakiegoś ekscentrycznego sławisty. Chociaż to skrajne niepodobieństwo, na wszelki jednak wypadek pragniemy dyskretnie zaznaczyć, że Zderad nie był niesamowicie tchórzliwy i że skutki tego szkolnego ćwiczenia w hymnologii homeryckiej mogły

się w gruncie rzeczy okazać wręcz niewyobrażalne. Ściśle biorąc to właściwie były bardzo wyobrażalne i dlatego tak szokujące. Ludzi posyłano na śmierć za dużo błaższe sprawy niż przedstawiony obraz Stalina wystrojonego w dziesiątki zegarków nakradzionych przez armię wyzwolicielską czy twierdzenie, że obywatele radzieccy traktują grzmoty i błyskawice jako przejaw jego flatulencji.

Mętnie lewicowe akademickie mięczaki niech sobie przypominają list Sołżenicyna i co się mu z tego wymotało.

O.K.?

\*

Wymieniony wierszyk spłodził Zderad jeszcze przed rokiem czterdziestym ósmym jako gimnazjalista i dawno o nim zapomniał. Nie miał nawet pojęcia, jak mógł się dostać w szpony faceta. Fotokopia rzecz jasna nosiła wyraźne cechy jego charakteru pisma, który można było zidentyfikować również w grece, a ponadto utwór miał jednoznaczny nagłówek po czesku:

„Oda do Stalina

Ž. Zderad 7a”

Ściśle biorąc Zderad napisał jeszcze jeden wiersz na podobny temat, w wymowie nawet dużo gorszy. Był ułożony w dialekcie eolskim asklepiadejskim metrum mniejszym i mówił o tym, jak się radzieckie narody schleją, kiedy Zeus da a generalissimus pozwoli.

W aspekcie formalnym i materialnym wiersz ten odzwierciedlał profesjonalny i polityczny rozwój Zderada. Od prostego heksametru w dialekcie epickim, łatwym, gdyż podsuwa bogaty zasób form alternatywnych i stereotypowych zwrotów, co też ułatwia utrzymanie go w rytmie, aż po złożoną miarę asklepiadejską w dialekcie eolskim. Również treść ideologiczna stała



się w drugim utworze bardziej pieprzna. Nie wykluczone, że facet posiadał i ten tekst, ale zachował go na potem, żeby w ten sposób stopniować torturowanie swojej ofiary.

\*

Zderada opuściliśmy w chwili, gdy był zmuszony czmychnąć w zarośla, aby uniknąć haniebnego zafajdania się.

Uprzedzaliśmy, że książka będzie miejscami cokolwiek odrażająca i oto przypominamy to ponownie. Oto nastał czas, ażeby Pięknoduch wałną książczyną o podłogę z głośnym „a masz”, albo ją rzucił na pastwę płomieniom, najpewniej w otwartym kominiku swojej szanownej rezydencji, właściwej klasie średniej.

\*

Facet świecący żółtą szczęką wtargnął tedy w zarośla i delektował się upokorzeniem Zderada.

Dalszy ciąg wydarzeń zagęścił się w pamięci Zderadowi w jakieś ulotne i uproszczone, wręcz nieprawdopodobne obrazy, które jednakowoż w nim wywoływały rozliczne a silne i praktycznie niemal bez wyjątku przykre odczucia.

Pamięta, jak haniebnie się kulił w kucki, podczas gdy facet nad nim stał radując wzrok i prawiąc jakieś sarkazmy. Pamięta dalej, jak był zmuszony wykonać nieodzowny, skrajnie intymny obrzęd na oczach faceta, gdyż ten odmówił odejścia z zarośli, a, co więcej, zaproponował mu do wykonania tej czynności papierowe serwetki, które Zderad musiał przyjąć, ponieważ alternatywa byłaby jeszcze haniebniejsza.

Pamięta, jak przez chwilę zastanawiał się, czy

facetowi nie przygrzać z całej siły, a kiedy upadnie, to się zobaczy, co dalej.

Facet mu to widać z oczu wyczytał i warknął, że jeśli nie przyjdzie wieczorem do domu, to zgodnie z tym, co wcześniej zarządził, pewna koperta zostanie dostarczona bezpiecznie.

Zderad się zawahał i odstąpił od swojego zamiaru.

\*

Obserwując całe wydarzenie z dystansu i ptasiej perspektywy wiemy, że w tym momencie Zderad właściwie już z facetem przegrał. Gdyby zaryzykował ewentualność, że on blefuje i zafundował mu jedną fangę, nie wykluczone, że cała sprawa wzięłaby inny obrót i nie byłoby powodu pisać tej potwornej historii.

Zauważmy, że do końca nie będzie jasne, czy facet miał jakieś konszachty z es-be, czy też, jak to się mówi, mydlił jedynie oczy. Ma się rozumieć, był z nimi, jak się przekonamy, w dobrej komitywie, ale czy miało to swoje poufne przedłużenia, diabli wiedzą.

Gdyby Zderad z miejsca się nie poddał, wcale nie jest pewne, że facet by swoją pogroźkę urzeczywistnił (choć nawet wtedy miałyby jeszcze realną nadzieję na powodzenie), można równie dobrze zakładać, że w końcu rozmyśliłby się, bo to przecież i dla niego byłoby ryzykowne. Zrobić na kogoś donos, że nazwał Stalina po czesku ostem, jest dużo prostsze niż przekonać odpowiednich agentów, że jakiś ścierwopiewca napisał przed laty w języku greckim bluźnierczy wiersz na temat generalissimusa. W ten sposób mógłby niechcący sam się wpakować pod lupę dochodzeniowej baczości, co by mu wcale nie było na rękę, gdyż sam w jakimś sensie miał całe tony masła na głowie. Nastręczała się tu, rzecz jasna, i inna, szybka i drastycz-

na możliwość, ale z niej zgrzebnie ofermowata duszy-  
czka Zderada za nic by nie skorzystała.

Na jego usprawiedliwienie wszakże wypada po-  
wiedzieć, że do powyższych refleksji nie był absolutnie  
zdolny. W naszych stronach ludzie kierują się zresztą  
słuszną zasadą, że nie należy nikomu, o ile to możliwe,  
wchodzić na nagniotki. Istnieje bowiem zawsze duże  
prawdopodobieństwo, że taki nagniotkiewicz jest  
w tym czy innym sensie szpiclem.

\*

Zderad pamięta, jak zdusił w sobie agresywny  
impuls i jak ni stąd, ni zowąd znalazł się przed jednym  
z zaniedbanych grobowców patrycjuszowskich z nie-  
mieckimi napisami.

I że grobowiec był zbudowany w podrabianym  
stylu gotyckim.

I że facet nagle wyciągnął z kieszeni wielki  
ozdobny klucz, otworzył wąskie gotyckie drzwiczki,  
wepchnął Zderada do środka, sam wszedł za nim  
i ponownie zamknął drzwiczki. I że facet potarł zapałką  
i zapalił gromnicę na świeczniku.

I że okazało się, iż grobowiec jest właściwie małą  
kaplicą, już splądrowaną i pustą, a trumny znajdują się  
tu w podziemnej krypcie.

**I że...**

W tym momencie Zderadowi żołądek znów pod-  
szedł pod gardło i znów musiał puścić się biegiem przez  
galeryjkę.

\*

Przedstawienie dalszych wspomnień Zderada  
jest sprawą niezwykle trudną i delikatną.

Ledwo bowiem zgrzytnęły rygle w zamykanej

furtce grobowcowej i zajaśniały świece w kapliczce, facet niespodziewanie padł na kolana przed Zderadem wyrzucając z siebie jakieś obrzydliwe czułości. Zderad wprowadził już w tej chwili zdał sobie sprawę, że musi się ratować przed homoseksualną prostytutką, jednak to, co nastąpiło, przechodziło wszelkie jego rozeznanie w psychopatologii seksualnej. To, co ten facet ze Zderadem poczynał, miało wprawdzie oczywistą motywację i wymowę seksualną, było jednak sprawą definicji, czy to w ogóle można nazwać formą kontaktu płciowego.

Za czasów austriackich wprowadzono prawo antyhomoseksualne i w zasadzie prawo to w przedstawianym przez nas okresie było wciąż jeszcze w mocy również w Czechosłowacji.

W odróżnieniu od Związku Radzieckiego tutaj jeszcze obowiązywały skodyfikowane prawa i chyba obowiązują do dzisiaj.

Otóż, jeśli się nie mylę, to według starego prawa austriackiego ten facet właściwie nie dopuścił się żadnego czynu karalnego.

Cóż, niejeden odmieniec wołał zwykle przed sądem przyznać się do rzeczy, których w rzeczywistości nie uczynił, a za które szedł do ciupy, niż opisywać swój rzeczywisty akt i wyjść z sądu co prawda wolnym, ale z piramidalnym wstydem.

Niekiedy nawet nie wiedziano, że to rzecz niekaralna, i pręcej myślano, że za coś takiego idzie się na stos lub pod topór katowski. Często zresztą szacowni obywatele austriaccy nie mówili prawdy nawet swoim adwokatom i trzymali się wersji dużo mniej, choć i tak obrzydliwych.

Dopiero, kiedy zapadł wyrok, złagodzony dzięki usilnym zabiegom obrońcy, ten i ów wyznawał, że właściwie to dopuścił się czegoś znacznie gorszego, o czym gdyby się sąd dowiedział...

— Aber das ist doch straflos — zareagował w takiej sytuacji rozbawiony dr Buxbaum.

Po czym, zagarnąwszy sowite honorarium, wyczorem zwierzył się ze wszystkiego swoim kolegom. Oczywiście z zachowaniem niezbędnej dyskrecji.

\*

Jeśli wciąż jeszcze w swojej poczciwości nie domyślamy się, o co chodzi, wesprzyjmy się historią literatury czeskiej. Jak twierdzą eksperci, sekularyzowany ksiądz Jakub Deml przyznaje się do skrajnie osobliwej namiętności. Mianowicie w swoich dziennikach z niebywałą szczerością oświadcza, że pragnie kobietom „całować uda”. Określenie to jest nader eufemiczne. Z różnych kontekstów i napomknień niestety wiadomo, co nieborak miał na myśli. Prawdę mówiąc do dzisiaj nie pojmuję, dlaczego chciał, ażeby czytelnicy to wiedzieli. Tak czy inaczej, ten facet, który zresztą był trochę również fizycznie podobny do Demla, lubił „to samo z jedną dziurką”. O.K.?

\*

Szczegóły pociesznego aktu nie przestawały Zderada niesamowicie dręczyć.

W nos wciąż jeszcze bił mu jakiś spleśniały, a być może i trupi fetor, w oczy zaś — płomień świecy, rozjaśniający zimny gład ołtarza.

Wciąż widział, jak w ten płomień rzuca się samobójczo jakiś mól, a może ćma.

Wciąż słyszał, jak ten facet coś tam pod nim mamrocze i szepcze, śmiesznie i wstrętnie, a potem chrząka i wzdycha.

I potem długo ociera usta papierowymi serwetkami: po to je zatem ze sobą przyniósł.

Wciąż także widział, jak facet potem rzuca mu złe i zawstyżone spojrzenia, jak otrzepuje z kurzu kolana i narównuje krawat, daremnie usiłując odzyskać straconą godność.

I jak odchodzi z wyrazistszą niż przedtem miną zbitego psa, i jak się za nim ciągnie jego przekleństwo, widzialne niemal w postaci długiej kity z gęstej fioletowej mgły.

I jak przed zniknięciem mamrocze, że przyjdzie znowu.

\*

W końcu Zderad zapadł w jakiś nieprzyjemny półsen, który o brzasku, jednakowoż miłosiernie nabrał głębi.

\*

Przebudził się późno.

W pierwszej chwili czuł się przyjemnie. Po jakimś czasie jednak dała o sobie znać świadomość, że coś jest nie w porządku. Na koniec ta świadomość przybrała postać faceta.

Zderad zwlókł się z pościeli w nie najlepszym stanie. Była już niemal dziesiąta. Na szczęście tego dnia miał cmentarne śpiewanie dopiero po południu.

Usiadł na kanapce i medytował, co ma robić. Zaszłość tkwiła w powietrzu jak przezroczysty głaz. Zderad usiłował sobie wmówić, że to był tylko zły sen, ale w ustach wciąż jeszcze czuł gorycz po parokrotnych wymiotach.

— Pewnie to już tak będzie stale — pomyślał z odrazą. Panika i zamęt ustąpiły i Zderad był znowu zdolny nieomal normalnie myśleć.

Przed wszystkim zdał sobie sprawę, że nawet to

go nie może złamać. Przyniósł z galeryjki zimnej wody i dokładnie się umył w cynowej misce. Gorycz z ust usunął pastą do zębów. To go ocuciło.

Ubrał się, podjadł i zaczął zastanawiać się, jak tu się wydostać z potrzasku.

Najlepiej to chyba byłoby wyjechać.

Jednakże, jeśli facet jest tajniakiem, albo ma z nimi kontakty, to łatwo go odnajdzie.

Przy tym gdzie indziej trzeba by znaleźć sobie mieszkanie i pracę, a to w tym czasie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Sylwia mogłaby też oświadczyć, że z nim nie pojedzie. Jest zadowolona, że w tutejszej szkole ma etat... ha, i to akurat teraz, kiedy ich wzajemne stosunki stają się znowu coraz lepsze. Musiałby również jej powiedzieć dlaczego, a tego w żadnym razie nie mógłby uczynić. Przy tej sposobności uzmysłowił sobie, zupełnie marginesowo, że jej właściwie od wczoraj nie widział. Przecież przez całą noc źle spał, więc chyba nie przeoczyłby jej przyjscia, nie przespał. Widocznie jednak przespał. Teraz oczywiście była już znowu w szkole.

No i to... znaleźć dla Zawiszka przedszkole, do każdego z nich jest kolejka.

Nie, wyjechać się nie da.

A gdyby tak przejść z obrony do ataku i donieść na faceta? Tylko że jeśli to tajniak? Z homoseksualnego mordercy Haarmanna był też „Herr Kriminal”. Tacy są pod ochroną nawet w znacznie mniej potwornych reżymach.

Na dobitkę... to, co on czynił... fuj... to chyba nie jest nawet karalne, zdaje się, że Zderadowi chyba ktoś nawet to tłumaczył, jakiś prawnik czy co, skoro czynność nie dotyczy organów płciowych... Jest jeszcze, oczywiście, grobowiec... świętokradztwo czy jak to się nazywa, ale tego oni zapewne już nie uznają. A poza tym, nie mógłby właściwie powiedzieć, że był do tego

przymuszony, bo wtedy trzeba byłoby wytłumaczyć, jak do tego doszło — no nie, wkopałby przecież sam siebie. Pisać szydercze wiersze o Stalinie to chyba pachnie strykiem, nawet jeśli to zrobił przed ośmiu laty i po grecku.

No cóż, jest załatwiony. Facet ma go w rękę i korzysta z tego.

To człowiek wykształcony, na pewno zna dobrze grekę. Wynika to zarówno z faktu, że wiersz zrozumiał, jak też z pewnych jego ironicznych komentarzy, jakie mamrotał, kiedy stał nad skręcającym się Zderadem w zaroślach. Zdaje się, że z sarkazmem chwalił jego niezwykłą znajomość dialektu homeryckiego. Zderadowi coś jakby prześwitywało w pamięci, że w związku z tym padło słowo Oksford i Dublin.

To jest człowiek światowy. Typ gentlemena, jaki u nas nie występuje powszechnie. Nasi filozofowie prawie zawsze chodzili z wytartymi łokciami i nawet ewentualne katedry niezbyt ich ustawiły społecznie. Ten musi być w dobrej sytuacji finansowej i nie wydaje się, żeby to były zasoby z kapitalistycznej przeszłości. Tym gorzej, niestety. Pod każdym względem stoi znacznie wyżej od Zderada, przegranego śpiewaka cmentarnego. Taki facet, jak otrzeźwieje, to musi czuć się niesamowicie łyso, że się przed kimś takim jak on przysłowiowo ohydnie upokarza. Pewnego dnia, może już po tym, co zaszło wczoraj, radykalnie pozbędzie się Zderada, ażeby mu jego istnienie nie przypominało jego własnego absurdałnego przekleństwa.

Lazurowa jaskinia Tyberiusza.

Zderad poczuł, że go znowu zalewa fala zimnej przeraźliwej grozy. Jakaś niesformułowana i niesformułowana myśl zdawała się wykluwać z mentalnego głazu trwogi niczym olbrzymie potworne piskłę z gigantycznego jaja. Nie pozwolił jednak, aby stała się ciałem. Zdał sobie sprawę, że horror, jaki budził w nim



facet od chwili, kiedy zaczął się pojawiać, zawsze zawierał w sobie również ową mieszaninę współczucia i wstrętu, jaką odczuwamy na widok obrzydliwych kalek.

Było zadziwiające, że tak to odczuwał, choć o tym facecie prawie nic nie wiedział. Czyżby przypadek ekstrasensorycznej percepcji? I co to da?

Ale co teraz?

Najpierw, zastanawiał się Zderad, trzeba będzie dociec, kim ten facet właściwie jest. I gdyby rozpoznanie prowadziło do absolutnej bezsilności i beznadziei, cóż, przynajmniej rozwieje mistyczną grozę groteskowej anonimowości. Na razie facet miał przewagę, gdyż naturalnie znał Zderada i jego sytuację.

W całej tej sprawie to było zupełnie jasne. Zacząć więc można było od zbadania, jak to monstrum weszło w posiadanie jego wiersza i w jaki sposób potem wytropiło autora. Detektywistyczne czynności tego rodzaju będą jednak wymagały czasu i pieniędzy, a Zderad miał ich sakramencko mało.

Po czym wpadł na oczywiste rozwiązanie.

Jego nastrój się poprawił jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej. Po chwili jednak ogarnęła go znowu depresja.

Zdał sobie bowiem sprawę z kolejnej ohydnej strony tego medalu.

\*

O złożoności ludzkiego wnętrza!

Wczoraj Zderada mdliło i mdliło, i jego głęboki wstręt przejawiał się wielokrotnie w sposób nader namacalny fizycznie. Jednakowoż jego wczorajsze doświadczenie zawierało również coś, od czego się w myśli skwapliwie opędał, a co teraz przebiło się do

jego świadomości, jako że okazało się to bardzo a propos.

Święty Hieronim w swoich listach do świętej dziewicy Eustochion wiele czasu i energii poświęca wskazówkom dotyczącym zachowania dziewictwa. Nie zamierzamy tutaj brutalnie wnikać w motywy eremity, którego kościół szanuje i którego autorytet, choć usiłowano go perfidnie zdyskredytować, uratował kiedyś słowiański obrządek w Chorwacji\*. Wśród jego wywodów znajdujemy tezę, że zgwałcona dziewica nie popełniła grzechu i nie straciła moralnie stanu dziewictwa, jeśli podczas nie chcianego obcowania nie odczuwała rozkoszy.

Oto, co na koniec uświadomił sobie Zderad pod brutalnym naporem pamięci. W atmosferze zielonawej stęchlizny bowiem stwierdził z pewnym zaskoczeniem, że mechaniczne powierzchniowe drażnienie skrajnie intymnej części jego anatomii jest zdolne wzbudzić podniety, normalnie związane z inną, acz niezbyt oddaloną częścią jego ciała.

Do tego dołączyła się świadomość chwilowej wprawdzie, ale tym gniewniejszej przewagi nad potworem, który jeszcze przed okamgnieniem szarpiąc niewidzialne okowy strachu miał nad nim pełną władzę. Więc to on jest panem niewypowiedzianie obscenicznych pragnień tego szantażysty — surowa rozkosz duchowa, płynąca z tej pewności, kojarzyła się Zderadowi z ohydną, ale skuteczną pieszczotą, przyprawianą tłumionymi westchnieniami i porchaniem grobowcowego kochanka. Tylna część smrodliwego mandryla, nieprawdopodobnie bezwstydną, razi wrażliwość zwiedzających ogrody zoologiczne, a przecież mieni się symfonią delikatnych i wyrazistych zieleni,

\*Sw. Hieronim pochodził z Dalmacji, toteż kiedy południowi słowianie przyjęli chrześcijaństwo, udało się księżom chorwackim wmówić papieżowi, że głagolicę wymyślił na ich potrzeby właśnie on, a nie odstępcy Cyryl i Metody. W ten sposób w Chorwacji zachował się obrządek słowiański, tzw. głagolski. (Przyp. autora)

pąsów, niebieskości i fioletów. Podobnie przysłowio-  
wy koloryt mają również pewne metalicznie lśniące  
muchy, na przykład z rodzaju Calliphora, lubujące się  
w odchodach i padłach, jak też i niektóre gatunki  
żuków. W ten sposób blask i chwała istnienia przenika  
wszystkie jego piętka. Tak też, niezawisły od widowis-  
ka, które oświetlał, jaśniał w grobowcu płomień grom-  
nicy pięknym, uroczystym blaskiem i mimo woli roz-  
gorzała także rozkosz Zderada. Pulsując płonęła kolo-  
rowo i rozpaląca się, aż na koniec wystrzeliła kosmicz-  
nym fajerwerkiem.

Wspomnienie owej chwili, wynurzywszy się na  
koniec nieodwracalnie z pamięci Zderada, napełniło go  
uczuciem niesamowitego zakłopotania. Ścierpł, zalany  
falą tego nowego cierpienia, przymknął powieki i coś  
mamrotał usiłując to wspomnienie na powrót utopić  
w podświadomości. Wreszcie obudził się ostatecznie,  
mokry od potu.

Było oczywiste, że potwór mimo wszystko koniec  
końców wygrał.

Czerwono zajaśniał przyptyw nowego wstydu.  
Zderad machinalnie wstał i podszedł do krzesła, na  
którym wisiała jego wytarta marynarka. Sięgnął do  
kieszeni.

Był tam. Wyjął banknot, rozłożył go i długo badał  
jego skomplikowane krzywizny graficzne. Dawno nie  
widział takiego banknotu. Cóż, mimo wszystko nie  
wyrzucił go.

## ROZDZIAŁ V

Czas płynął, zegary astronomiczne wskazywały  
obecnie pełne lato.

Rzecz zadziwiająca, jak natura nie troszczy się  
o ludzkie sprawy, i to ani publicznie, ani prywatnie.

Usiłuje, z dużym nawet powodzeniem, nie troszczyć się także o to, żeby nikt nie naruszał jej porządku.

Ludzie, którzy przeżyli dwie wojny, a było ich w Mieście co niemiara, opowiadali niekiedy, że podczas kanonady ptaki w najlepsze sobie śpiewają, że usiłują się zagnieździć w zbombardowanych domach i te pe.

Również lato zajaśniało z lekka na cmentarzach złotem i zielenią, jak gdyby się nie liczyło z partią i władzą w tym kraju.

Przyroda była także głucha na udręki Zderada. Wybuchły wakacje.

Sylwia wyparowała do rodziców, którzy, jak się zdawało, byli gotowi jej przebaczyć, i wzięła ze sobą małego Zawiszę.

Zderad pozostał w mieście. Reguły rządzące służbową pozycją ścierwopiewców wywodzą się bowiem z czasów austriackich, kiedy to do urlopu nie przywiązywało się absolutnie żadnej, z drobnymi wyjątkami, wagi, a owe drobne wyjątki bynajmniej nie dotyczyły niższych kręgów stworzenia. Ścierwoeufoniści bowiem, jako pracownicy na akord, są płaceni od sztuki. Zderad był zatem zmuszony pozostać w Mieście, ażeby kontynuować pracę zarobkową, dzięki której mógł jako tako utrzymać przynajmniej siebie, czyli przynosić ulgę co nieco więcej zarabiającej Sylwii, mającej na głowie utrzymanie siebie, dziecka i mieszkalnej trumny.

Zresztą Zderad u jej rodziców byłby źle widzianym gościem i, prawdę mówiąc, nie miałby za co tam pojechać, tak przynajmniej uważała Sylwia.

W rzeczywistości Zderad miał teraz pieniędzy więcej niż kiedykolwiek przedtem. Uważał nawet, że jest niemal bogaty. Nie mógł jednakże tego Sylwii wyjawić, gdyż nie obyłoby się bez pytań, i musiał poprzestać na tym, że oddawał jej absolutnie wszystko, co występował.

Znamy już źródło tych niespodziewanych wpływów i ogarnia nas lęk, że sympatyczny do tej pory Zderad został oto w umyśle czytelnika potępiony. Z miejsca powinien być potworowi się przeciwstawić, nawet go w razie potrzeby stłuc i podjąć ryzyko, że za tę swoją głupią sztubacką układankę w martwym języku, którego znajomość stawiała się coraz bardziej ekskluzywna, zostanie unicestwiony razem ze swoją rodziną.

Tym bardziej że, jak wiemy, rzecz mogłaby pozostać bez konsekwencji.

Lepiej umrzeć niż zgrzeszyć, powiada święty Alojzy, a po nim wielu innych Niezłomnych Książąt.

Cóż, temu przekonaniu przeciwstawimy południowoczeskie przysłowie, że „biednego człowieka nie stać na honor”, co, jak wydaje się, wyraża prawdę niemal kosmiczną.

Zresztą ci z konsumentów, którym udało się zwiąć z kraju dopiero ostatnio, niech to rozważą w swoim sumieniu.

„Mille modi Veneris”, powiada Publiusz Owidiusz Naso, my zaś dodajemy: „scilicet venalis”<sup>\*</sup>.

Sformułowanie powyższej myśli, całkiem zbytecznie brylujące klasycznym ekshibicjonizmem, bezsprzecznie odzwierciedla ducha Zderada i w rzeczywistości jest cytatem jego wewnętrznej spekulacji, którą usiłował osłodzić sobie własną hańbą. Podporządkowanie się pod groźbą unicestwienia cielesnym żądzom duchowego kaleki jest wprawdzie oczywistą i bezsporną prostytucją, niemniej jednak nie najpodlejszego rodzaju.

Konstatujemy również, że ten wymuszony akt swoją istotą diametralnie odbiegał od wszystkiego, czego się większość z nas w ojczystych stronach dopuszczała, choćby tylko symbolicznie i przenośnie.

<sup>\*</sup>Co znaczy: tysiąc jest sposobów Wenery (czyli miłości), oczywiście sprzedanej. (Przyp. autora)

Przyznajcie zatem łaskawie, że w tym przypadku nie spadła z głowy nikomu korona, czy też korzona, jak mówią słowaccy oficerowie, starający się wykazać superpoprawną czeszczyną.

Wzdragamy się jednak przed dopuszczeniem myśli, że Zderad zaczął do nowej sytuacji przywykać.

Zdaniem wykładowców marksizmu-leninizmu kapitaliści są niemoralni również dlatego, że ich bogactwo ich korumpuje.

Zderad sprawił sobie kilka koszul, jakieś skarpetki i te pe, a także płócienne spodnie i sandały, tak zwane chrystuski, na letnie dni. Jeśli chodzi o odzież solidniejszą, to wahał się między kurtką skórzaną a nowym garniturem, ale na koniec, żeby nie budzić podejrzeń, zrezygnował i z jednego, i z drugiego.

Wykazał w ten sposób większą przezorność niż dyrektorzy przetwórni mięsnych, którzy hurtem kupowali drogie samochody i zaraz potem dostawali się do ciupy, naturalnie w tamtych czasach, o których jest tu mowa.

Podobno teraz, podług zazwyczaj niezawodnych źródeł, korupcja w stronach ojczystych jest do tego stopnia powszechna, że z fenomenami tego rodzaju nikt się nie kryje i nie ponosi najmniejszych konsekwencji, ponieważ wszyscy mają masło na głowie.

Po dłuższej przerwie Zderad wreszcie uzupełnił w organizmie niedobory białka (choć wraz z odjazdem Sylwii zaopatrzenie ze wsi się skończyło) i co nieco przybrał na wadze, na co potwór z nieukrywaną przyjemnością zwrócił uwagę. Zderad czasem pozwalał sobie na luksus jednego czy też dwóch kufli pilznera. Raz na jakiś czas nie odmawiał sobie także zapalenia papierosa, choć wiedział, że w ten sposób nadweręża swój jedyny kapitał obrotowy. Ale cóż, poza innymi prezentami otrzymywał niekiedy od ścierwa również drogie zagraniczne fajki.

Właściwie to już mógłby machnąć ręką na swój zawód pogrzebowego śpiewaka. Parę razy zresztą korzystając z różnych pretekstów nie poszedł do pracy. Udział w kwartecie ścierwopiewców stawał się teraz dla niego jak gdyby zatrudnieniem osłonowym.

Mimo przypiływów zawstyżenia, które ogarniały go od czasu, do czasu choćby na ulicy, niby nagły ból zębów, tak że na chwilę z przymrużonymi oczyma przystawał czując oblewający go pot, zaczął poniekąd używać życia. Jeśli tylko mógł, czy raczej mogli, się urwać, chodził na baseny na rzece i odbywał długie dystanse płynąc pod prąd i ciesząc się ze swojej tężyzny i młodości, często nawet mijał kilka mostów i przedzierając się przez progi jazów dopływał aż pod Wieżę Wodną.

Parę razy poszedł i do kina, ale deprymowała go radosna rzeczywistość, jaką na wszelkie sposoby serwowano widzom, tak że musiał zrezygnować z tej rozrywki.

Turgo i Kruta, którzy byli lepiej sytuowani (rzecz jasna, oficjalnie lepiej sytuowani), niejednokrotnie zapraszali go na muzyczne przesłuchania... Stawał też często przed witrynami księgarń, zwłaszcza antykwariatów, które były o wiele ciekawsze i gdzie różne piękne stare książki można było kupić za grosz, gdyż nas, towarzysze, starzyzna nie interesuje.

W antykwariacie udało mu się kupić grecko-łacińską biblię, w której brak było tylko strony tytułowej, dzięki czemu pewnie została przez antykwariuszy przeoczona, oraz pierwsze wydanie *In der Strafkolonie* Kafki...

\*

Wbrew pozorom wciąż się jeszcze w głębi duszy łudził, że jakimś sposobem mimo wszystko uwolni się

od swojego prześladowcy. Na razie jednak wszystkie jego próby dowiedzenia się, kim ten potwór jest, spełzały na niczym.

Z różnych jednak oznak wywnioskował, że brzydał posiada samochód, ale nigdy nie udało mu się widzieć tego wozu z tak bliska i na tyle długo, by móc rozpoznać numery. W rodzajach aut Zderad rzecz jasna zupełnie się nie orientował. Któregoś razu, kiedy potwór roznamiętnił się aż do utraty zmysłów i zawzięcie porचाł jak prosiak, Zderad przetrząsnął jego odłożoną na ołtarz marynarkę, ale stwierdził, że ten wstręciuch przezornie zostawia najprawdopodobniej dowód osobisty w domu. Być może jako towarzysz nie musiał go nawet przy sobie nosić. A w ogóle to nic w jego kieszeniach Zderad nie znalazł. Kilkakrotnie też go śledził, ale za każdym razem ta kreatura nagle mu zniknęła z oczu, jakby się pod ziemię zapadła.

Później drań dał mu do zrozumienia, że jeśli Zderad nie przestanie mu deptać po piętach, to on mimo wszystko może powiedzieć gdzie trzeba, jakie to wiersze pisało się po grecku.

\*

Aczkolwiek Zderad starał się całą rzecz racjonalizować, doskwierało mu zwłaszcza to, że w grobowcowych seansach musiał uczestniczyć nader intymnie. Gdyby udało mu się zachować całkowitą obojętność, mógłby odczuwać w dużej mierze ironiczną wyższość, która jest tajemnicą profesjonalnych dziwek i oziębłych żon. Nie dające się opisać wstręciuchowe czułości były jednak tak prowokujące... Niemniej jednak Zderad z radością stwierdzał, że z wolna i od tej strony cała rzecz zaczyna mu powszednieć, co ułagodziło co nieco jego moralny dylemat.

Dodajmy jeszcze raz wyraźniej, że potwór pozostawia



stawał wierny swojej dewiacji. Jeśli się nie mylimy, mężczyzna o takich skłonnościach ma wśród pobratymców przydomek „buliznik”<sup>\*</sup>, a czynność, której się oddaje, nazywa się „bulizana”, czyli jest to tak zwany przymiotnik urzeczownikowiony, podobnie jak na przykład przegrana, prosta, uczona i te pe.

Mimo morfologicznej zbieżności z podobnym słowem oznaczającym rodzaj minerału wyraz ten jest innego pochodzenia. Jest kalką, czyli słowem złożonym z części przejętych z różnych, obcych sobie języków. Przynajmniej można to tak tłumaczyć.

Końcówka „-liznik” jest pochodzenia słowiańskiego, czyli czeskiego, a jej znaczenie jest oczywiste. Drugi składnik to słowo „bul”, które wywodzi się z języka cygańskiego i oznacza ową część ciała, której dotyczy czynność. Poprawnie zatem należałoby pisać „bulliznik”, w odróżnieniu od nazwy minerału.

Buliznicy dzielą się na okazjonalnych i zatwardziały. Brzydał należał, chyba na szczęście dla Zderada, do tej drugiej grupy.

Kiedy Zderadowi bulizana spowszedniała, nie był zaszokowany ani też nie podniecał się mimowolnie (jedno z drugim się wiązało), mógł sobie wmawiać kurewską wyższość. Układ zdawał się nabierać ku zadowoleniu obu stron pewnej niesamowitej stabilności i Zderad przytąpywał się na tym, że mu się już nic w tej sprawie nie chce robić. Skorumpował się.

## ROZDZIAŁ VI

Jest mniej więcej godzina dziesiąta rano i piątek. Dwie wiewiórki, czarna i rudawa, harczą po drzewach cmentarza, drobny krwawoczerwony pajęczak gramoli

<sup>\*</sup>Czeska nazwa na krzemień tępkowy.

się przez labirynt nagrobków, rojniki pączkują, pszczoły bzyczą wśród kwiatów i tak dalej.

Cmentarzysko pulsuje radością życia, a Zderad właśnie odbębnia swoje zajęcie osłonowe.

Wdowa w żałobie płacząc wspiera się o ramię syna, ksiądz kropidłem poświęca dół, a grabarze już przypasowują do ramion sznury spod trumny.

Białe chusteczki estetycznie kontrastują z czarnymi ubraniami.

Nastaje chwila ostatniego pożegnania, ścierwo-piewcy śpiewają ulubioną piosenkę nieboszczyka:

Gdzie się to jezioro  
rozlewa szeroko,  
zmierzchem dzikie gęsi  
leciały wysoko.

Zmarły szewc wyborem piosenki ujawnia mimo woli niezwykły smak o wyraźnej archetypowo-indywidualnej proveniencji.

Piękną, prostą, z lekka melancholijną melodię Kukula troskliwie zaaranżował, nie omieszkał przy tym wykorzystać harmonii kwint rozków leśnych, która się tu sama nastęcza przy słowach „rozlewa szeroko” i przy pierwszym „leciały wysoko”. Najbardziej rozwiazania harmoniczne przypadają tu właśnie drugiemu tenorowi i Zderad z przyjemnością je wykonuje.

Przed oczyma duszy wyłania mu się szeroka, błyszcząca tafla jeziora Połaniec. Przychodzi mu na myśl, że ma dosyć pieniędzy, żeby nie tylko wypełnić swoją detektywistyczną misję, ale przy sposobności pojechać również w strony rodzinne Sylwii, zrobić niespodziankę żonie i synkowi, i może nawiązać przyjacielskie stosunki ze starym kalwinem. Toż stary mógłby w końcu zrozumieć, że klamka zapadła, właśnie z jego punktu widzenia, skoro nie uznaje ani rozwodów, ani dzieci pozamażeńskich...

Trumna zjechała do dołu, sypią się grudy ziemi,

rzucane przez gości żałobnych, i zmarły szewc ustami czterech śpiewaków żegna się ze światem:

Nie były to gęsi,  
były to gąsiątka,  
gdzieście się podziały  
dorodne dziewczątka?

Nie były to gęsi,  
były to gąsiory,  
gdzieście się podziały  
chłopy-zakapiory?  
Chłopy-zakapiory...

Zderad podniósł z ziemi podniszczoną teczkę, rozdeptą od niezbędnych na krótką wycieczkę rzeczy i ruszył na stację. Jego honorarium za pogrzeb szewca wezmą koledzy i w poniedziałek mu je oddadzą.

Naraz poczuł się jak kiedyś w dzieciństwie, kiedy jeździł z rodzicami na wycieczki. Z chęci skrócenia sobie drogi, ale w gruncie rzeczy z przepelniającego go młodzieńczego wigoru przeskakiwał groby i na koniec przesadził również niski murek cmentarza.

Jedziemy!

\*

— On commence par un croix de bois la route qui menejusqu'a Dieu, bordee de tristes petits pommiers qui s'en vont indefiniment deux par deux — mówi do siebie wewnętrznym głosem kultywowany ścierwo-piewca i z radością obziera scenerię, jakby wyciętą z wiersza pana konsula Francji w monarchii austriackiej z siedzibą w Pradze.

Wprawdzie owemu nastrojowi bardziej odpowiadałaby jesień, ale i tak te jabłonki, dwójkami wspi-

nające się na wzgórzu, jakże prawidłowo wywołują metafizyczne ściśnięcie się serca. Koniec końców niepodobna zaprzeczyć, -że pan konsul poetą był, choć rzecz prosta guzik o nas wiedział, i w dodatku z tego guzika właściwie wyszły mu nici, co jasno wynika również z tych czterech wierszy, jakie napisał o Czechach, za które wszakże katolicycy nasi inteligenci do dzisiaj z wdzięczności nie przestają się nisko kłaniać przed nikłym ognikiem jego galijskiego ducha. Obecnie wyszli już z mody, są na emigracji, w pace, i te pe, podczas gdy inny garnitur Słowian zachodnich czyni podobne wygibasy przed Związkiem Sowieckim...

\*

Im bardziej się Zderad zbliżał do kościoła, a tym samym do plebanii, tym wyraźniej ta podróż wydawała mu się nedorzeczna. Ale, jak to się mawia, tonący brzytwy się chwyta. Postanowił bowiem, że niech będzie, co chce, lecz on musi coś z tym wszystkim, w co się wplątał, zrobić. Postępowanie potworka stawało się coraz obrzydliwsze.

Zaczęło się od tego, że na kolejną schadzkę przyszedł z wielką walizką. Wąskie gotyckie drzwiczki grobowca czy mauzoleum walizę dotkliwie rozpruły i właśnie, kiedy się z tym zmagali, za zakrętem ścieżki odezwały się głosy. Na szczęście, zdążyli w porę ukryć się w środku, w przeciwnym bowiem razie nadchodzący najprawdopodobniej wzięliby ich za cmentarnych złodziei i podnieśliby alarm. Z walizy wyłoniła się ślubna suknia z welonem i — o zgrozo — również frak z cylindrem dla Zderada.

Te rzeczy chyba były z wypożyczalni, w przeciwnym razie kosztowałyby to majątek.

Ze względu na homerycki hymn do Stalina trzeba było jednak się podporządkować i Zderad musiał

przejsz przez swego rodzaju obrzęd ślubny. Szkarada miała na głowie blond perukę z wiankiem. Co chwila ją zdejmowała i przywdziewała ornat stając się księdzem udzielającym ślubu.

Były też obrączki: Zderad swojej nigdy później nie nosił, co zrozumiałe (prawdziwej obrączki ślubnej nie posiadał, gdyż wtedy ani jego, ani Sylwii nie stać było na taki wydatek), ale musiał ją zakładać na cmentarnej schadzki.

Obrączka była solidna, piękna.

Żadnego napisu nie miała jednak wygrawerowanego, na to potwór był zbyt ostrożny. Potwór przyniósł również jakiś improwizowany poczęstunek ślubny, łącznie z butelką szampana i dwoma jakby mszalnymi, tyle że mniejszymi, okazał się prezentującymi kielichami. Zakłopotanie ożeniło się ze wstrętem, kiedy na koniec poprosił Zderada, żeby mu do kielicha się odlał, i pienisty napój z przyjemnością wypił. Poza tym na szczęście nie zmienił swojego normalnego sposobu perwersji: konsumpcja „małżeństwa” ograniczyła się do zwykłej bulizany i przed tym nawet nie chciał, żeby go Zderad pocałował w usta. Zderad odetchnął z ulgą.

Kiedy to teraz wspominał, sam nie mógł wyjść z podziwu, co człowiek jest zdolny zrobić ze strachu i — przynajmniej — dla pieniędzy! Tym razem wynagrodzenie było szczególnie wysokie: „prezent ślubny”, powiedział wstręciuch.

Na tym jednak nie wyczerpały się potworkowe fantazje.

Następnym razem przyszedł wprawdzie jak gdyby nigdy nic bez walizy, ledwo jednak znaleźli się w grobowcu, zdjął z siebie garnitur i okazało się, że jest w damskiej bieliznie i pończoszkach czarnego koloru. Z teczki wyjął nie tylko pantofelki i peruczkę, którymi dopełnił iluzję, ale po chwili również różgę. Wyjaśnił Zderadowi, że „żonusia była mu niewierna” i że „prosi

o wymierzenie kary", po czym Zderad musiał mu różgą wychłostać tyłek. Wstręciuch przy tym krzyczał i obiecywał, że się poprawi, i te pe.

Był więc najwyższy czas się zerwać i Zderad to solennie postanowił, ledwo potworek odkuśtykał.

Sytuacja stawała się coraz przykrzejsza. Kto wie, z czym ten wstręciuch wyskoczy w przyszłości.

Zderad jednak pewnych rzeczy nie wiedział: nagły rozkwit potworkowej fantazji erotycznej wiązał się z Okolicznościami zewnętrznymi i zresztą później okoliczności zewnętrzne co nieco go ponownie utemperowały.

\*

...Owego dnia Zderad usnął późno.

Jego sen był nadzwyczaj dziwny.

Brał udział w pewnej niby to kościelnej uroczystości, obrządku bodaj ormiańskiego, i wszystko odbywało się na jakiejś konstrukcji mostowej. Egzotykę potęgowali uczestnicy uroczystości, gdyż nie byli to ludzie, ale jakieś po części uczyłowieczone zwierzęta, niby z wyspy doktora Moreau.

Przy ołtarzu stał wstręciuch i zdawało się, że służy do mszy. Zderad nagle znalazł się przy ołtarzu. Potwór rytualnym mieczem rozciął mu z przodu ubranie na dwie części przy wielkim aplauzie uczyłowieczonych zwierząt... Obnażywszy całkowicie z przodu Zderada, brzydał przytknął mu kielich, żeby do niego naszczał.

Zderad się temu sprzeciwił.

Potwór zatem obrócił się do ołtarza, z którego wziął oszkloną ramkę z tekstem modlitwy, jakie zazwyczaj stoją w różnych miejscach kościoła nie wyłączając ołtarza.

Podsunał ramkę przed oczy Zderadowi.

Była to naturalnie i tym razem oda do Stalina,

wydrukowana z zastosowaniem ligatur, jak to się dawniej czyniło, i z równoległym przekładem łacińskim:

Te domine Stalin adoro, tu Cremlo albosaxo  
Russis et Tataris dominaris omnibus sedens.

Zderad wszakże chwycił wstręciucha za szyję i ten zaczął się przeobrażać jak Proteusz w rękach Menelaosa. Na koniec przemienił się z powrotem w człowieka — i tym człowiekiem okazał się BRVA.

W tym momencie Zderad się przebudził z uczuciem, że chyba coś odkrył.

\*

Brva był kolegą Zderada z gimnazjum. Kolegą delikatnym i dobrym, ale bardzo nierozgarniętym. A jako że chciał zostać księdzem, dochrapał się matury jedynie dzięki interwencji katechety.

Zderad pomagał Brwie w nauce, głównie w grece i łacinie, w których ten był wyjątkowo tępy, co naturalnie nie stwarzało mu zbyt dobrych perspektyw na przyszłym studium teologicznym.

Zderad bywał również w domu Brvy. Jego ojciec był dozorcą w przyzwoitej dzielnicy. Brwowie mieszkali w suterenie i Zderad przypominał sobie, że mu to locum wtedy wydawało się biedne i do niczego. Było naturalnie dużo lepsze niż jego obecna trumna mieszkalna.

Brva nie był jedynym klientem Zderada: Zderad otaczał się całą gromadą uczniów zapóźnionych i krnąbrnych, choć powinien był trzymać sztamę z elitą klasową. Chyba już w tym można upatrywać zapowiedź jego późniejszego obsunięcia się w dół, że niby tak bardzo lgnął do upadłych aniołów.

Podczas klasówek z łaciny i greki troszczył się

o to, by swoje czarne owieczki przeprowadzić przez rafy.

Najpierw kończył swoje własne wypracowanie. Zawsze był z nim gotów jako pierwszy, dużo wcześniej od innych dobrych uczniów. Jednakże zamiast oddać zeszyt i wyjść na korytarz, poświęcał resztę godziny na sporządzanie ściągaczek dla swoich podopiecznych, z uwzględnieniem indywidualnego stylu każdego z nich. I żeby rzecz się nie wydała, każdemu z nich wpisywał jakiś drobny, stosunkowo niewinny błąd, było przecież wiadomo, że tacy uczniowie jak Brva czy Garbusek nie mogą napisać wypracowań celujących...

Obecnie dawni podopieczni Zderada byli po większej części towarzyszami inżynierami i doktorami, cieszącymi się przynajmniej w pewnym stopniu szacunkiem i zarabiającymi na przyzwoity chleb bez uciekania się do fizycznej prostytucji. O ile się Zderad nie mylił, Brva mimo wszystko został księdzem.

Teraz mu się przypomniało, że któregoś dnia, kiedy siedzieli z Brwą w jego piwnicznym mieszkaniu nad jakimś tam Homerem, pani Brvova przyniosła im jakieś wino domowej roboty, owocowe, może jakieś inne. Było to bowiem przed samą gwiazdką czy też zaraz po niej. Zderad tak się zaprawił, że stracił panowanie nad sobą i zaczął nieszczęsnemu Brwie okazywać swoją wyższość.

Chcąc się popisać swoją grecką erudycją ułożył wówczas odę do Stalina — przenikające ze Związku Sowieckiego czasopisma i krajowa prasa komunistyczna prowokowały do takiej reakcji, mimo że jeszcze nie nastał radosny brzask.

Wiersz ten zachwycony Brva sobie wtedy wziął.

Brva jest tu zatem kluczem, chociaż niepewnym.

Odszukajmy zatem Brwę.

Według tego, czego się dowiedział, Brva był



kapłanem w powiecie L. Bardzo to było Zderadowi na rękę, gdyż wieś Mina, leżąca na brzegu Poślańca, znajdowała się na tej samej trasie.

Za haniebnie zarobione pieniądze można było zafundować sobie tę wycieczkę.

Jazda!

\*

— No, to proszę dalej — powiedział proboszcz.  
— Wie pan, stała się taka rzecz, dziwna. Musimy o tym spokojnie porozmawiać. Może i pan coś mógłby tu wyjaśnić.

Proboszcz zaprowadził Zderada do małego pokoju, jakie spotyka się na wszystkich zamożniejszych plebaniach, a sam ksiądz był niemal typowym egzemplarzem dobrego wiejskiego proboszcza. Poczęstował Zderada jakimś tam, chyba jarzębinowym winem, po czym usiadł naprzeciwko niego i z powagą przyglądał mu się mądrymi piwnymi oczyma.

— A więc Zderad to pan — cicho zahuczał.  
— Zdenieczek, ksiądz Brwa, opowiadał mi, jaki to z pana był świetny uczeń, a zwłaszcza specjalista od greki. Tyle że go pan podobno trochę gniewał spierając się o prawdy wiary — nie trzeba było tego robić.

Zderad się zmieszał. Tak oczywiście naprawdę było. Chętnie okazywał Brwie swoją intelektualną przewagę również w ten sposób, że uzmysławiał mu absurdy jego rozumowania, i w efekcie mącił mu w głowie. Przypuszczał wówczas, że nierozgarnięty Brwa słuca tego jednym uchem, a drugim natychmiast puszcza w świat, toteż speszył się, kiedy uświadomił sobie, że właściwie dawał mu się we znaki bardziej, niż myślał, i wyraźnie zalewał mu sadła za skórę.

— A co pan obecnie robi... pewnie na uniwersytecie, co?

Zderad poczuł w ustach zwykły smak piotunu i agresywnym tonem przyznał się, że jest wyłącznie pogrzebowym śpiewakiem.

— To ci dopiero!... Aha, rozumiem... Cóż, niech pan będzie rad, że nie zabrano mu wolności. Póki ma człowiek dach nad głową i co do ust włożyć, ma dobre powody, żeby być zadowolonym i chwalić Boga!

Wprawdzie do tej mądrości Zderad już sam doszedł dużo wcześniej—choć nie chwalił za nią Boga — to niestety obecna jego sytuacja wszystko to obrać w niwecz.

Poczuł silną potrzebę zwierzenia się ze wszystkiego księdzu — zażywny pleban wzbudzał zaufanie — ale mimo wszystko rozmyślił się.

— Wie pan — ciągnął ksiądz tubalnie — ale proszę tego dalej nie rozpowszechniać... Zdenieczek umarł. Umarł — ksiądz ściszył głos do trwożnego szeptu — z własnej ręki! Sam pan rozumie... ksiądz... a tutaj wiocha. Zatailiśmy to przed wieśniakami, właściwie to nawet jego rodzina nie wie... doktor nam poszedł na rękę... Powiedzieliśmy wszystkim, że umarł na serce... Kiedy się człowiek wiesza, serce mu przestaje bić... więc nawet nie kłamaliśmy — dodał ze zwykłą księżą wykrętnością.

— W końcu... zrobił to... bo serce nie wytrzymało... w tym innym, moralnym sensie: stracił chęć... stracił serce, jak to się mówi, no nie? Więc nawet właściwie nie skłamaliśmy. W końcu biskup pozwolił zrobić kościelny pogrzeb, teraz to normalne postępowanie, matce powiedzieliśmy, że nie może go zobaczyć, że nieborak już się rozkłada... wyglądał strasznie... mój Boże... — proboszcz się przeżegnał. — I nawet nie wiemy dlaczego... trudno zgadnąć. Przyjeżdżał tu do niego z Miasta jeden pan, kto to był, o co chodziło, trudno zgadnąć, sądziliśmy, że chyba... z policji... wie pan, ale tego nie wiemy. Zdeniek go się wyraźnie bał.

Ale nigdy nie puścił pary z ust. Chodzili razem do lasu, wracali późno i Zdeniek... wyraźnie czuł się nieszczęśliwy, modlił się na wikarówce do późnej nocy i płakał... wie pan, był to taki wrażliwy młodzieniec, przecież go pan znał. Mnie się nigdy nie zwierzał, cóż. A ja... muszę się przyznać... nawet zbyt nie nalegałem... no bo jak na spowiedzi powiem prosto z mostu: bałem się, że się czegoś niepotrzebnie dowiem... choć nie wiem, co to mogło być. Przyszło mi do głowy, że... ale potem, ja wiem, że Zdeńkowi podobały się dziewczęta... z całym szacunkiem, rzecz jasna... my też jesteśmy ludzie... ale wodził za nimi oczyma, to zauważyłem. Bóg raczy wiedzieć... Spowiadać się... to on do mnie nie przychodził... u nas nie ma tego zwyczaju... no więc nic nie wiem... choć oczywiście nikomu bym ani mru-mru... Jeździł spowiadać się do świętej pamięci księdza Jeśiny, na rowerze, przez las. Dostyc często. Potem Jeśina zmarł i nikt nie przyszedł na jego miejsce. A Zdenieczek był coraz smutniejszy, smutniejszy... aż w końcu stało się. Niech Bóg się zmiłuje nad jego duszą. A mnie przyszło do głowy, że skoro jest pan jego kolegą z ławy szkolnej, i w dodatku przyjaźniliście się, to że pan być może mógłby jakoś tam domyślać się, co za tym wszystkim się kryło...

Zderadowi wydawało się, że domyśla się, co za tym wszystkim się kryło, ale w żadnym razie nie powiedziałby tego temu staremu księdzu, który, jak to duchowni, był nazbyt naiwny. Poza tym przecież nie miał żadnej pewności, że tak było, jak mu się wydawało. Zapytał zatem tylko, jak właściwie wyglądał ten człowiek, który przyjeżdżał do Brvy.

— Trudno go opisać, miał takie osobliwie wyblakłe oczy... zupełnie jak... jak wodnik. Dlatego też myśleliśmy, że to chyba był, no, wie pan... tajniak. Ale na takiego nie wyglądał. Był świetnie ubrany i w ogóle... Ja wiem, ale tacy to znowu nie będą do diaska... do

belzebuba... sit venia... jeździć na wieś na spotkania z kapłanami.

Wszystko stało się zatem jasne.

Ale Zderad nie mógł proboszczowi po prostu powiedzieć, co i jak. Może to być i błąd. Nie wykluczone, że gdyby się ze wszystkiego proboszczowi zwierzył, to otrzymałby jakąś niezawodną radę. Nie od dzisiaj wiadomo, że księża katolicycy wyglądają i mówią, jak gdyby nie umieli zliczyć do pięciu, ale w rzeczywistości najczęściej wcale nie są tacy naiwni. Kościół święty to lis nad lisami, a ksiądz katolicki, w przeciwieństwie do najprzeróżniejszych pastorów, wysłuchuje w konfesjonale najosobliwszych rzeczy. Poza tym miejscowy proboszcz Plicka robił wrażenie człowieka rozumnego również w tym ludzkim, niekościelnym aspekcie. Zresztą wygadał się niechcący, że nie myliły go przecucia... ale... nie wypada... zwłaszcza takie rzeczy!

Gdyby się był Zderad teraz zdecydował, wszystko mogło wziąć inny, właściwy obrót, ale nie puścił pary z ust. Rozmowa zesłała na Brwę, na jego naukę, domowe stosunki i te de, na Zderada, jego żonę na wakacjach, do której jedzie przez Miną, na co ksiądz rzekł, że dziś już nie będzie miał pociągu, musi zostać tu na noc. Tak się też i stało.

## ROZDZIAŁ VII

...nazajutrz Zderad w towarzystwie proboszcza Plicki odwiedził grób Brvy. Widniał na nim skąpy napis: P.Z. BRVA, kapłan oraz daty introitu i exitu. Grób obrośnięty był rojnikami i tchnął spokojem. Na jego widok Zderadowi zrobiło się smutno, ale jakby jakoś abstrakcyjnie, powiedzielibyśmy wręcz: kosmicznie.

Po chwili wśród rojników coś zauważył: ktoś w oszklonej ramce umieścił na grobie barwną reprodukcję jakiejś ikony, która pod wpływem wilgoci

już się powykrecała. Była to kartka papieru, chyba wycięta z jakiejś książki czy czasopisma ilustrowanego. Ikona przedstawiała kobietę-pustelnicę o surowej ciemnej twarzy.

Zderad pochylił się i z trudem odczytał u jej dołu ozdobny podpis: ŚWIĘTA MARIA EGIPSKA, PATRONKA PROSTYTUTEK!

Więc aż tutaj sięgał czarny śmiech niezrozumiałego potwora. Teraz przynajmniej Zderad już wiedział, niemal na pewno, co w trawie piszczy. Nie mógł się tylko domyślić, jakim sposobem wstręciuch dorwał Brwę w swoje szpony. Jednak, i sam się temu dziwił, było mu z tego powodu raczej potwora żal.

Proboszczowi o swoim odkryciu Zderad naturalnie nic nie powiedział. Ten i tak to pewnie wiedział lub raczej przeczuwał. Zdawał się być mądry jak sama ziemia.

## ROZDZIAŁ X

Wychodek w gospodzie był w tej chwili wyjątkowo pusty. Pozwoliło to na dalszy rozwój wydarzeń.

Ledwo bowiem nasz przyjaciel skończył się odlewać przynosząc w ten sposób ulgę przecięzonemu mechanizmowi urologicznemu, chwiejnym krokiem wszedł do sracza bas Kruta. Podszedł nieoczekiwanie do Zderada, objął go wokół ramion i usiłował pocałować. Równocześnie drugą ręką przejechał mu po przyrodzeniu. Zderad go gwałtownie odepchnął dając mu zarazem do zrozumienia, że gotów jest wyrzucić go w pysk. Miał po dziurki w nosie jednego pedała!

O Krucie wprawdzie chodziły różne plotki, ale Zderad w nie w żaden sposób nie mógł uwierzyć, gdyż Kruta nie miał w sobie zgoła nic niewłaściwego, a ponadto dysponował nader męskim głosem: niezwykle głębokim basem.

- No nie, Zderadku, sądziłem zawsze, że jesteś nasz — huknął Kruta pojednawczym tonem.
- Niby dlaczego? — wściekał się Zderad.
- Jakżeż to... przecież niejeden raz cię widziałem z tym... no, z tym profesorem.
- Było to nowe i zaskakujące odkrycie.
- Więc ty go znasz?
- Znam, znam, jakże by inaczej. My się wszyscy znamy. To buliznik (w tym momencie Zderad się zaczerwienił).
- A kim on jest?
- Jak to, ty nie wiesz?
- Nie, powiedz!
- No tak, ale wiesz, ja się boję — powiedziała niezdecydowanie, a że właśnie do wychodka weszło kilku chłopów, którzy, jak wiadomo, są niepewnym żywiołem, dodał: — Psst, już ani mru-mru!

## ROZDZIAŁ XI

— Witaj, Zderadzie, co za gość! Wchodź dalej!  
 Wszedłszy, Zderad usiłował z miejsca przejść do rzeczy, ale Kruta wymigiwał się. No, powiadał, nie ma pośpiechu, napijemy się.  
 Kruta nalewa i gada o wszystkim i o niczym.... Zderad pije, a on papla. O wspólnych znajomych, organistach, ścierwopiewcach, proboszczach, organach, a i co nieco o „sytuacji”. Wyraźnie Zderadowi ufa, a dlaczegożby nie... Po chwili, myśląc, że Zderad już ma dosyć w czubie, siada obok niego z pornograficznymi zdjęciami. Oglądają je, Kruta widzi, że u Zderada zjawiają się reakcje fizjologiczne, na które tylko czekał. I kiedy Zderad wkłada rękę do kieszeni, Kruta interpretuje to mylnie i zaczyna dobierać się do Zderada. Ten przez chwilę pozwala mu działać, poczym, kiedy Kruta pochyla się do przodu, żeby lepiej widzieć guziki i to, co się spoza nich ukaże, Zderad przytyka mu do karku brzytwę.

— No, dosyć ornitologii... a teraz mi wyśpiewasz, kim jest ten profesor. Albo ci poderżnę gardło, a potem sobie. Mnie już wszystko jedno!

Kruta robi się żółty jak sam przewodniczący Mao (wówczas chyba jeszcze grzeczny) i zdroźna lubieżność znika mu z twarzy...

\*

Tak, tego faceta Kruta zna. Bywał, jeszcze przed wojną, w jednym z wiadomych lokali. Jest chyba w wieku Kruty. Jak się nazywa?

Juliusz Skomelny, doktor Juliusz Skomelny. Był kiedyś księdzem, ale potem go konsystorz pozbawił urzędu.

Teraz? No, jest na uniwersytecie. To wykształcony człowiek, profesor, zna wiele języków, tak jak ty, ale... to wielka świnia. Umie też świetnie grać na fortepianie i na organach. Szkoda, że nie poświęcił się muzyce...

Po jakimś czasie nikt już z nim nie chciał. Jest buliźnikiem i każe się też kaleczyć nożem. Inne rzeczy mu nie sprawiają przyjemności. Ale podobno jest biseksualny. Chodzą słuchy, że zadawał się również z dziewczynami, które sam lizał i kaleczył. Dzwonne, no nie? Ja bym nie skrzywdził nawet kury, a dziewczyny to by dla mnie mogły w ogóle nie istnieć.

Ha, czym się zajmuje? Robi coś na uniwersytecie, już to mówiłem. Przez jakiś czas był chyba w seminarium jako personalny, a także od marksizmu. Podobno i tam podrywał tych... studentów. Doszło nawet do jakiegoś skandalu, dziekan napisał skargę do partii, więc go zwolnili. Ale nic mu się nie stało.

(Jak się zatem miał bronić ten nieborak Brva! Stał ta Maria egipska, wstęp do Ziemi Świętej przez

prostytycję. W razie odmowy pewnie by go wylał ze studiów pisząc mu odpowiednią opinię w aktach personalnych lub oblewając na egzaminie.)

Teraz to on kręci w tej wojnie z religią, gada też przez radio. (Zderad nie posiadał radia, w przeciwnym razie może nieszczęśnik nie musiałby grozić kumplowi poderżnięciem gardła... ale radio przecież koszmarnie zmienia głos, a telewizji praktycznie jeszcze wtedy u nas nie było, dopiero raczkowała.)

Mówi się, ale pamiętaj, Zderad, to nic pewnego!, że maczał palce i w tym cudzie w Czihoszti. To by było do niego podobne.

Ponoć kumał się i z faszystami... umie też po hebrajsku, żebyś wiedział. Ten Baldur von Schirach to też podobno był nasz kolega. Ale, ma się rozumieć, że o nim wiedzą. Kochany, oni wiedzą wszystko.

Aztym seminarium... No, to pewnie jest tak, że im zwisa, że on te rzeczy, wystarczy, że dla nich pracuje. To tak jak z Niemcami.

Co, że w partii? Tacy to chyba nie muszą być nawet w partii.

Słuchaj, archiwa to on ma w bezpiece. A archiwisci nie muszą się wciągać na członka w takiej partii czy w takich związkach zawodowych, bo tajniacy też się nie wciągają, a przynajmniej nie muszą. W NRD to ponoć z byłych gestapowców zrobili szpicli.

No już, daj spokój, Zderad, błagam cię!

Ależ skąd... z nim?... ja go tylko parę razy widziałem, kiedyśmy śpiewali na cmentarzu, przyglądał ci się.

A tak naprawdę, to ja nic nie wiem i nie chcę wiedzieć.

No, sam wiesz najlepiej, że i ja bym na to poszedł, pewnie. Au! Zderad!

Ale wiedz, że my nie wszyscy jesteśmy tacy. To nieprawda. Wszyscy tylko jesteśmy nieszczęśliwi, cóż, i ta Julcia. Mój Boże.



Ja się chciałem z tego wyleczyć, mnóstwo forsy straciłem u jednego Żyda i nic z tego nie wyszło...

No, no, nie mazgaj się, Kruta.

Stuchaj, ja tak tylko dlatego, że nie chciałeś mi nic powiedzieć po dobremu. Więc się nie gniewaj, musiałem.

No, już dobrze. Tylko bez głupstw i gadaj! Wiesz, ja przede wszystkim się bałem.

Wszyscy się go boimy, nie wiadomo, co taki może na człowieka wyciągnąć z rękawa...

No, to ja wiem.

Ależ pewnie, wiadomo, to nie tutaj się obławia i nie jak ty. Ta religia to dla niego złotodajna żyła.

No, wiesz, to im też nie przeszkadza. Mówił mi pewien ksiądz, że Lenin był synem dziedzica. Tak, tak, Engels miał fabrykę, podobno. No, nie bój nic, ja cię rozumiem.

Co prawda nie wiem, dlaczego ci na tym tak zależy... wszyscy jesteśmy nieszczęśnicy, mój Boże.

No ale... przecież... gdyby ktoś się dowiedział, że ja go tak dobrze znam, to by zaraz wiedział, w czym rzecz: A ja to nie on, mnie by to nie uszło na sucho, o nie. (Przesadną ostrożność mógł Kruta przypłacić życiem.)

Nie, błagam, klnę się na wszystkie świętości... ani pary z gęby.

\*

No, proszę, mówił sobie w duchu Zderad, z wy piekami idąc do tramwaju: doktor Juliusz Skomelny... Juliusz.

Po pierwsze wskazuje to na zamożne środowisko, pewnie jako dziecko chodził w mundurku marynar skim.

To by się zgadzało.

I podobno „bisex”.

Gaius Julius Caesar.

Omnibus ille viris mulier mas ille puellis. (Dla mężczyzn niewiasta a dla dziewczyn mężczyzna.)

Tylko że u niego wszystko jest sadomasochistyczne, twierdził Kruta.

Chryste!

„Z Julci jest świnią”, powiedział Kruta.

Boże, Boże, Boże, jeśli tylko jesteś, jakkolwiek Boże, zmiłuj się nade mną!

...no i ...„doktor”.

Diabła często przedstawia się jako intelektualistę, doktora. Doctor logicus. Patrz Anatole France, par exemple, n'est-ce pas?

Boże, Boże, wyłabudać się z tego...

\*

Egzamin dwukierunkowych studentów. Pauza. Papieros na galeryjce świątyni — poza obszarem kanonicznym.

— Te, koleś, ty jesteś filozof? Jest tam u was na wydziale niejaki Skomelny?

— Profesor?

— Nie, jeszcze nie. Docent. Ha, ty nie słuchasz radia. No tak, filozof. Ale on to by mógł chyba wykładać wszystko. Zna... przecież...

— Ano cóż... ja bardziej... a czemu to tak cię interesuje? Aha, słyszałeś go w radiu.

— To nie o to, tutaj się produkuje, w Mieście.

— Cóż, nie wiem... tyłu teraz wylali... No, to cześć! Muszę tu coś z jednym... o tam... z Józefem.

\*

— Przepraszam, towarzyszek przy maszynie, powiedzcie mi łaskawie, czy jest tu dzisiaj towarzysz

docent Skomelny? — (Ma się rozumieć, że go nie ma, Zderad to wcześniej starannie sprawdził.)

— Aha... to pech, ja z nim koniecznie, ale to koniecznie muszę się widzieć... w sprawie zaliczenia. No, a... może byście mi dała, bardzo proszę, jego prywatny adres...?

Ja wiem, ja wiem, że nie macie. Ale, towarzyszeko, bardzo proszę, to strasznie ważne... zaliczenie... prze-gapiłem termin... bo ja wiem. Wstawcie się w moje położenie, jak tego nie załatwię do końca listopada, to z moimi studiami koniec. Bardzo was proszę, bądźcie tak dobra...?!?!??!

Dziewczyna się rumieni, waha, po czym szybko wystukuje na maszynie karteczkę.

— O, proszę, ale nikomu ani mru-mru! I ani słowa, że to ja!

— Dziękuję, towarzyszeko, macie złote serce.

Sex-appeal Zderada tym razem zadziałał w normalnym kierunku.

No, to w nogi, zanim ktoś tu...

\*

Skok przez barierkę.

Śnieg już jest rzadki.

Elegancka dzielnica, gdzie się gnieźdzą sępy.

Może ma, jako ważny matoł, domową obstawę...  
no, nie ociągaj się!

Piękna willa z wielkim ogrodem.

Ogród nie zaniedbany. Willa w lecie oczywiście schowana za drzewami. Dyskrecja komfortu zapewniona. Więc tak te kurwy mieszkają!

Byle tylko... no, naprzód, młody lwie!

Dyskretna tabliczka: Dr J. Skomelny.

Więc jednak. Aja już niemal myślałem, że on się ot tak materializuje z piekła.

No, a co dalej? Na to przyjdzie czas.  
Szum silnika i szelest kół na szczerku.  
Fiat.

Wysiada wypielegnowana blondyna i dwa zaniebane dzieciaki. Większy ma chustę pioniera na szyi. No tak, skończyły się lekcje.

— Przepraszam, towarzyszeko, czy mieszka tu gdzieś towarzysz major Piśvejc?

— Nie, to pomyłka.

— Dziękuję, nie mogę go jakoś znaleźć.

To by było na tyle.

Wszyscy, wszyscy jesteście kurwy, mówił sobie w duchu Zderad wychodząc z domu Kukuli, gdzie pewien ścierwopiewca grał przedwojenną melodię jako własną nową kompozycję. Jak nie kijem go to pałką. Właściwie to, co ja robię, to jeszcze nie najgorsza forma tego procederu.

(Nie najgorsza?)

No, przynajmniej oczywista i brutalna. Rzetelna.

Boże, Boże, Boże, jeśli tylko jesteś, jakikolwiek Boże, zmiłuj się nade mną.





PETR POSLEDNÍ

przełożył  
JÓZEF WACZKÓW



## OSTROGI FANTAZJI

W czeskiej prozie ostatnich dwudziestu lat zaszły poważne zmiany. Z jednej strony — w zgodzie z ogólnym trendem światowym — liczni autorzy zacierają granice między fikcją artystyczną i literaturą faktu wplatając w tok narracji zapisy z autentycznych dzienników, rozważania polityczne czy też minieseje filozoficzne. Z drugiej strony wszakże jeszcze liczniejsza grupa prozaików oddaje się niczym nie skrupowanej fantazji kreatywnej i posługując się dowcipnie wymieszaną kompilacją atrakcyjnych form kultury masowej — kryminały, dreszczowce, beletrystyka pornograficzna, baśnie — wychodzi daleko poza ramy jakiegokolwiek prawdopodobieństwa. Jest to z pewnością reakcja na wieloletnie tłumienie w czeskiej literaturze tradycji ekspresjonistycznych i surrealistycznych, zwłaszcza w okresie husa-kowskiej normalizacji. Ale nietrudno i o inne uzasadnienie. W pełni wyczerpać nastroczające się możliwości podjętego tematu można właśnie i przede wszystkim w sferze fantastyki. A poza tym korzystając z takich właśnie możliwości kreatywnych, pozwalających przeciwstawić fabułę sposobowi narracji, współczesny twórca osiąga upragniony rezultat: wyrafinowany komizm.

Tego rodzaju kontrasty między następstwem zdarzeń a językiem opowieści spotykamy przede wszystkim w powieści *Kacica* (*Katynś*), Kolonia 1979, Prana 1990), pióra znanego dramaturga, mieszkającego w Austrii, Pavla Kohouta. Powieść przedstawia historię naiwnej dziewczyny, która kończy technikum i ze swoim chłodnym stoicyzmem burzy w nowym środowisku dotychczasowe stosunki pomiędzy postaciami. Spoza fasady w sposób na pozór naukowy zorganizowanej instytucji z wolna wynurzają się jednostki wątpliwe moralnie, ze skłonnościami do dewiacji seksualnych, wymyślające dla zabicia czasu doskonalsze mechanizmy brania w karby i karania ludzi. Przez cienki lakier celów wychowawczych przebijają stare winy nauczycieli, swymi korzeniami sięgające drugiej wojny światowej — wówczas kolaborowali z Niemcami — lub lat pięćdziesiątych, kiedy to z entuzjazmem brali udział w represjach stalinowskich. Zachodzący oczywiście między wzniosłymi ideałami a niskimi pobudkami postaci rozdział jest dla czytelnika uchwytny głównie dzięki językowi narracji. Kohout nie pozostawia tu najmniejszych wątpliwości, że niby te ścisłe opisy narzędzi tortur, szczególnie wycieczki w historię egzekucji czy powiedzmy nazewnictwo wszystkich zajęć w szkole katowskiej są tylko pustą procedurą dydaktyczną, która niczemu nie służy, wręcz przeciwnie, skoro widzimy, jak nasilają się mechanizmy przypominające system totalitarny i jak wymykając się wszelkiej logice, nieubłagane w końcu niszczą wszystkich protagonistów. Czarna groteska powieści staje się zjadliwą satyrą na czeskie stosunki po sierpniu 1968,

Inną metodą postępuje się Jan Kfesadlo, prozaik mieszkający od roku 1968 w Anglii. W powieści *Ścierwopiewcy* (*Mrchopevcy*, Toronto 1984), nagrodzonej „Ceną Egona Hostovského” przeznaczoną dla „najlepszego dzieła autora czechosłowackiego na emigracji”, przedstawia losy kilku śpiewaków, ludzi odsuniętych w Czechach początku lat pięćdziesiątych na margines społeczeństwa przez reżym stalinowski. Głównym bohaterem fabuły jest najmłodszy z nich, który zbiegiem paradoksalnych okoliczności cierpi największe szkody i jako jedyny z nich usiłuje się przeciwstawić swojemu losowi nie zważając na tragiczne następstwa swojego postępowania. Emigracyjny autor wyraźnie stylizuje się na tradycyjnego, wszechwiedzącego narratora, który zna nawet najskrytsze myśli bohatera. Ów narrator nie waha się używać staromodnych figur stylistycznych i dawno we współczesnej produkcji literackiej zapomnianych chwytów, obrazowych kliszy, retorycznych pytań i uchodzących za tracące myszka zwrotów książkowych, zawierających imiesłowy przymiotnikowe i bezokoliczniki. Skutek tego proceduru jest podwójny: wywołuje ironiczny dystans czytelnika wobec przedstawianych zdarzeń dając mu do zrozumienia, że chodzi tu o zabawę w „przymrużenie oka”, a poza tym daje efekt

retardacyjny przygotowując w ten sposób pole do niespodzianek. I tak między odbiorcą a narratorem rozwija się nieustanna gra, w której ten pierwszy, nastrojony na ton „znamy to, znamy”, co rusz bywa zaskakiwany a to istnieniem dziwnych osobników niby hieny żerujących na nieszczęściu bliźnich (jakże wymowna jest tu nazwa „ścierwopiewcy”!), a to drastycznymi scenami seksualnego wykorzystywania bohatera przez szantażystę politycznego, a to znów brutalnym opisem oschłości uczuciowej w stadle małżeńskim. Jak gdyby autor chciał podkreślić, że ludzkie skłonności do zła przewyższają nawet stalinizm, i to one, jako ponadczasowe, stają się głównym przedmiotem opowieści.

Oprócz Kohouta i Křesadla do owego nurtu ciemnej prozy kreacyjnej zaliczają się pisarze pokolenia nieco młodszego, a wśród nich zwłaszcza Jiri Gruša jako autor trzech powieści: *Kwestionariusz, czyli modlitwa za pewne miasto i przyjaciela* (*Dotaznik aneb modlitba za jedno msto a piftele*, Toronto 1978, Brno 1990), *Doktor Kokesz Mistrz Panny* (*Doktor Kokeš Mistr Panny*, Toronto 1984, Praha 1992) oraz *Mimner, czyli gra o śmierdziela* (*Mimner aneb hra o smrdocha*, Praha 1991). We wszystkich tych książkach wyjątkowa jest sytuacja wyjściowa, która pozwala autorowi improwizować. W *Kwestionariuszu* bowiem narrator prowadzi fikcyjną rozmowę z referentem kadrowym Paylendą, któremu udowadnia niezrozumienie faktu, że składającemu podanie o pracę nie podobna udzielić odpowiedzi na urzędowe pytania. Stawianie znaku równości między życiem a rubrykami kwestionariusza jest absolutnym nonsensem. Bohater broni się zatem przed biurokratycznym odczłowieczeniem przywołując przeszłość, kilka pokoleń swoich przodków, wcielając je w inne postaci, przypominając przepowiednie astrologiczne. Wykracza przy tym poza ziemski czas i ziemską przestrzeń. W drugiej znowu powieści — *Doktorze Kokeszu* — Gruša kreuje imaginacyjny dziennik, w którym zapisuje bieżące spostrzeżenia bohatera, a także fantastyczne wizje z początku stulecia, z lat dwudziestych tudzież z okresu po komunistycznym puczu w lutym 1948. Stworzywszy bohatera obsesyjnie walczącego z widmem śmierci, każe mu się przed nią bronić istnieniem hiperbolicznym, utożsamianiem się z wyobrażeniami i przeżyciami członków rozgałęzionego rodu. W trzeciej z kolei powieści Gruša wprowadza zakłopotanego bohatera do utopijnej Kalpadocji, która pod względem obyczajów i lokalnych nawyków przypomina mroczne średniowiecze. Bowiem i tu życie upływa pod znakiem ceremonii i rytuałów, w których zacięra się różnica pomiędzy sferą prywatną i publiczną, człowieczeństwem i zwierzęcością, miłością i przemocą. Bohater z wolna przyswaja sobie cudzą mentalność i staje się coraz bardziej ofiarą własnego niezdecydowania.

W powieściach Gruša poważną rolę grają „słowa-klucze”.



wokół których skupia wiązki wyobrażeń. Słowa te wprawiają w ruch zarówno automatyzm psychiczny mowy, jak też racjonalną analizę wszystkich możliwych znaczeń określonego wyrażenia, poprzez którą Gruša chce sprawdzić, jakie treści ono zawiera w poszczególnych kontekstach. Na przykład słowo „puvod” (pochodzenie, przyczyna, źródło, początek) w *Kwestionariuszu* co innego znaczy, póki Gruša rozumie je dosłownie jako określenie środowiska rodzinnego, a innego nabiera znaczenia z chwilą odniesienia go przez pisarza do własnej powieści, dzięki której istnieje jako autor. Zupełnie odmienny sens ma słowo „puvod” w dokumentach urzędowych, zmienia ponadto znaczenia w kontekście znaku zodiakalnego. „Słowa-kłucze” spełniają też rolę instrumentu, pozwalającego bez przerwy zmieniać perspektywę narracji i przyjmując punkt widzenia poszczególnych postaci coraz to inaczej interpretować rzeczywistość.

Wymienieni autorzy, których można uważać za najrepresen-  
tatywniejszych dla całego nurtu prozy kreaacyjnej, jak widać pos-  
ługują się sprzecznością pomiędzy tokiem zdarzeń a jego podaniem  
zarówno w celu uzyskania efektu komicznego, jak też niejednokrot-  
nie dla uprawomocnienia swobodnie powiązanych wyobrażeń.  
Tego rodzaju praktyka twórcza dobitnie nas przekonuje, że czeska  
proza ostatniego dwudziestolecia wychodzi poza jakiegokolwiek ogra-  
niczenia artystycznego obrazu świata, jakie u niegdysiejszych eks-  
presjonistów i surrealistów wynikały ze spontaniczności wypowiedzi.  
Czeska „fantazja kreacyjna” wnosi do wymyślonych fabuł  
nieodzowną dawkę racjonalności i dzięki temu — mimo niekiedy  
nawet szokujących motywów i zwrotów akcji czy toku narracji —  
trafia czytelnikowi do przekonania. Przede wszystkim dlatego, że  
wypozaża go w zdolność wartościującego dystansu, potrzebnego do  
orientowania się w najbardziej nieprawdopodobnych, a przecież  
zdarzających się w rzeczywistości skłonnościach człowieka dwu-  
dziesiątego stulecia.





# AUTORZY TEGO NUMERU od „A” do „Z”

## B

KONSTANTIN BIEBL (1898—1951), twórca związany z poetyzmem, kierunkiem awangardowym w literaturze czeskiej, a następnie z surrealizmem. Największym osiągnięciem poety jest utwór *Nový Ikar* (1929). W warunkach ostracyzmu stalinowskiego w kulturze odebrał sobie życie.

IVAN BLATNY(1919—1990), poeta czeski, od roku 1948 na emigracji w Anglii. O poecie pisze w tym numerze Leszek Engelking.

## E

VRATISLAV EFFENBERGER (1923—1986), czeski teoretyk sztuki, poeta, tłumacz, przywódca powojennej grupy surrealistów. Wydał między innymi książki *Basne” na zdi* (1966, *Wiersze na murze*), *Realita a poezie* (1969, *Rzeczywistość a poezja*), i *Lov na černého iraioka* (1980 — *samizdat*, 1987 — *Monachium*, *Połowanie na czarnego rekina*).

## G

Jifftl GRUŠA (ur. 1938), jako poeta, publikujący tomiki od roku 1961, został u nas zaprezentowany w antologii *Drzewo rośnie zielono* (1969), natomiast prozę, znaną jedynie w drugim obiegu, jął Gruša wydawać po osiedleniu się w Niemczech (1980). Omawia ją w tym numerze Petr Pošlední.

## H

JINDřICH HEISLER (1914—1953), czeski poeta zorientowany surrealistycznie. Jego twórczość bliżej charakteryzuje w tym numerze Leszek Engelking w artykule „Surrealizm w liczbie mnogiej”.

## K

PAVEL KOHOUT (ur. 1928), socrealistyczny poeta i dramaturg lat pięćdziesiątych, stał się dysydentem w roku 1968, granym i publikowanym (nie licząc sarnizdatu) za granicą.

głównie w strefie niemieckojęzycznej, stąd trzy utwory znane po potsku — *Z dziennika kontrewolucjonisty* i sztuki *Safari* oraz *Bagno (Marast)* — zostały przetłumaczone z niemieckiego. Jedynie tę ostatnią jednoaktówkę wystawiał warszawski Teatr Domowy w dokonanym przez Andrzeja Jagodzińskiego przekładzie z czeskiego pod tytułem *Degrengolada*. Powieści Kohout jął publikować dopiero po przymusowym osiedleniu się w Austrii (1978). Obok *Kacicy*, omawianej w tym numerze, są to między innymi *Bílá kniha o kauze Adam Juraček* (Toronto 1978, Praha 1992) i *Kde je zakopán pes* (Kolonia 1987, Brno 1990).

PETR KRAL (ur. 1941), czeski eseista i poeta, mieszkający od roku 1968 w Paryżu. Wydał między innymi następujące tomiki surrealistyczne: *Prózdno svdta* (Monachium 1986, *Pustka świata*.) i *Era živých* (Monachium 1989, *Era żywych*).

JAN KŘESADLO(ur. 1926), właśc.VACLAV PINKAVA, mimoszykan (oskarżenie,spisek przeciwko republice” w roku 1949) ukończył medycynę i pracował w klinice psychiatrycznej zajmując się dewiacjami seksualnymi i oddając się swojemu hobby — muzyce — do wyjazdu w roku 1968 do Anglii, gdzie po osiedleniu się debiutował jako czeski pisarz emigracyjny *Ścierwopiewcami* (1984, *Mrchope-wcy*), przyjętymi entuzjastycznie i nagrodzonymi. Następnie wydał *Fuga trium* (1990), *Vara guru* (1991) i zbiór opowiadań *Ślepa bogini* (1990, *Ślepa ohynS*). Twórczość pisarza omawia w tym numerze Petr Pośledni.

LUDVIK KUNDERA (ur. 1920), poeta, tłumacz i eseista czeski, znany jest u nas z dwu antologii surrealistycznych: *Nadrealizm europejski* (1981) i *Odarci ze skóry* (1989).

## L

GABRIEL LAUB, urodził się w roku 1928 w Bochni. W roku 1939 wraz z rodziną ucieka do Lwowa, skąd w czerwcu 1940 roku deportowano go na Ural. Od roku 1943 uczęszcza do szkoły polskiej w Samarkandzie. W 1946 wraca do Polski, by po maturze wyjechać do Pragi na studia dziennikarskie. W 1948 uzyskuje obywatelstwo czechosłowackie. Pracuje jako tłumacz kabinowy, satyryk, krytyk filmowy, przekłada na czeski z rosyjskiego i polskiego (m.in. *AforyzmyS.J. Lecaj*). W sierpniu 1968 emigruje do Niemiec. Od roku 1972 pisze także w języku niemieckim. Publicysta, pisarz, tłumacz (m.in. utworów scenicznych Vaclava Havla na niemiecki). Mieszka i pracuje w Hamburgu. W Czecho-Słowacji wydał zbiór aforyzmów zatytułowany *Zkušnosti* (1967) oraz zbiór powiastek *Největší proces dejin* (1992, pierwsze wydanie na emigracji w 1972 roku).

## N

MILAN NAPRAVNIK (ur. 1931), poeta i prozaik orientacji surrealistycznej, od roku 1968 mieszka w Niemczech. Wydał między innymi następujące książki: *Motók* (1969, *Gryps*), *Vule k noci* (Monachium 1988, *Wola nocy*) i *Na břehu* (1992, *Na brzegu*).

VITEZSLAV NEZVAL (1900—1958), poeta czeski, prezentowany u nas dwoma wyborami (*Poezje wybrane*, 1968, *Cudowny czarodziej*, 1969), w latach 1927—1937 był czołowym surrealistą nad Wełtawą.

## P

PETR POŚLEDNI (ur. 1945), literaturoznawca i krytyk czeski, publikujący w „Literaturze na Świecie” od szeregu lat.

## **S**

JAN SMARDA (ur. 1930), lekarz i biolog czeski, najbliższy żyjący krewny poety Ivana Blatnego. Specjalista w zakresie mikrobiologii, profesor na wydziale medycznym Uniwersytetu Masaryka w Brnie. Autor licznych podręczników i prac naukowych

JINDRICHSTYRSKY(1899—1942), wybitny malarz surrealistyczny nad Wełtawą, piszący również teksty automatyczne.

## **W**

OLDŘICH WENZL (1921—1969), patrz artykuł Leszka Engelkinga.

## **Z**

JAN ZUSKA (1918—1978), patrz artykuł Leszka Engelkinga.

## SPIS TREŚCI

Ivan Blatny, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	3
Jan Smarda, Rozmowa z Ivanem Blatnym, oprac. i przeł. Leszek Engelking	12
Leszek Engelking, De profundis	15
Jan Kresadlo, Ścierwopiewcy, przeł. Józef Waczków	18
Pavel Kohout, Kacica, przeł. Leszek Engelking	92
Petr Posledni, Ostrogi fantazji, przeł. Józef Waczków	135
Jiri Gruša, Kwestionariusz, przeł. Piotr Godlewski	139
Gabriel Laub, Opowiadania, przeł. Stanisław Góra	149
Vítězslav Nezval, Wiersze, przeł. Józef Waczków	163
Konstantin Biebl, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	170
Jindřich Štyrský, Wiersze, przeł. Leszek Engelking i Józef Waczków	171
Jindřich Heisler, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	176
Vratislav Effenberger, Wiersze, przeł. Leszek Engel- king	178
Ludvik Kundera, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	183
Oldrich Wenzl, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	186
Jan Zuska, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	196
Petr Kršíl, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	197
Milan Nápravník, Wiersze, przeł. Leszek Engelking	200
Leszek Engelking, Surrealizm w liczbie mnogiej	204
Autorzy tego numeru od „A” do „Z”	
(Sad), Polski „kesež”	248
Jerzy Łukosz, Barwy dojrzałości	255
Józef Waczków, Uroki świata nad Wełtawą	259
Wojciech Jekiel, Huella i Szewc w przekładach włos- kich	261
Eugeniusz Kabatc, Książka o Leopardim	264
Leszek Engelking, Poezja brytyjska w Ustroniu Wiel- kopolskim	267

Nancy Huston, Wariacje Goldbergowskie, przeł. Hanna Igalson-Tygielska.....	272
Wacław Sadkowski, Głosa do <i>Wariacji Goldbergowskich</i> .....	554
Joanna Pomorska, Tonę Pretnar.....	559
Sławomir Błaut, Okrucieństwo wolnego rynku.....	561
Laureaci 1992 roku.....	565